

DENIS DIDEROT

KUBUŚ

FATALISTA I

JEGO PAN

Denis Diderot

Kubuś fatalista i jego pan

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23530042

Kubuś fatalista i jego pan:

Аннотация

Najsłynniejsze dzieło Denisa Diderota. Opisuje wyprawę Kubusia i jego pana, podczas której wydarzają się sytuacje prowokujące do wielu rozmów i rozważań o charakterze filozoficznym. Tytułowy Kubuś jest fatalistą, twierdzi, że wszystko, co się wydarza, zostało określone przez los i człowiek nie ma wpływu na nic. Poglądy tego bohatera pokrywają się z poglądami filozoficznymi Diderota. W powieści zacierą się typowa hierarchiczna relacja pomiędzy panem a sługą, Kubuś natomiast doskonale przedstawia się jako mówca, gawędziarz. Denis Diderot był pisarzem, krytykiem, filozofem, encyklopedystą epoki francuskiego oświecenia. Zasłynął jako inicjator wydania Wielkiej Encyklopedii Francuskiej. Dzieło Kubuś fatalista i jego pan powstawało między 1765 a 1780 rokiem, a zostało wydane w 1796 roku.

Содержание

Od tłumacza	4
Kubuś fatalista i jego pan	17
Конец ознакомительного фрагмента.	94

Denis Diderot

Kubuś fatalista i jego pan

Od tłumacza

Odczytałem jeszcze raz *Neveu de Rameau*. „Cóż za człowiek, ten Diderot! Cóż za rzeka, jak mówi Mercier! I Wolter jest nieśmiertelny, a Diderot tylko sławny. Dlaczego? Wolter pogrzebał poemat epiczny, bajkę, epigram, tragedię. Diderot dał początek nowoczesnej powieści, dramatowi i krytyce artystycznej. Jeden jest ostatnim umysłem dawnej Francji, drugi pierwszym geniuszem Francji nowej”.

Tak piszą w *Dzienniku* swoim w r. 1858 niepospolici znawcy epoki, bracia Goncourt. Nic naturalniejszego jak tego rodzaju rewizje i ewolucje pojęć, a bardziej jeszcze niż gdziekolwiek tutaj, w ocenie literatury XVIII wieku, w której działalność polityczna i publicystyczna tak ściśle spleta się z tworzeniem artystycznym, a w znacznej części zgoła je pokrywa. W olbrzymim dziele stawania się nowożytnego społeczeństwa – *stawania się* w świecie pojęć, zanim rewolucja przystąpi do urzeczywistnienia ich w czynie – literatura XVIII w. oddaje się cała służbom i potrzebom chwili. Podczas gdy w wieku siedemnastym, oparta o nietykalne podstawy tronu i religii, za cel swój miała własną doskonałość, tu

wszystkie oczy zwracają się ku niej, nie aby podziwiać i rozkoszować się, lecz raczej z pytaniem i niepokojem, z gorączką nowych haseł i dążeń. W zapalczym poszukiwaniu nowych rozwiązań wielkiego zagadnienia: *co jest człowiek? co świat? co społeczeństwo?* literatura przyswaja sobie wszystkie działy budzącej się z powijaków nowożytnej nauki, rzuca pomiędzy nimi pomosty, krząta się, pośredniczy, popularyzuje; wchłania w siebie wszystkie krążące idee wieku, aby, oddając je z powrotem spotężniałe, bardziej uorganizowane i świadome, tym mocniej utrwalić je w umysłach, gdzie majaczyły wprzód niewyraźnie. W tym jej siła i w tym słabość; w miejsce umiejętnie ograniczonej klasycznej doskonałości, mgławica elementów o wartości bardzo nierównej, pośpiech popularyzacji zarywającej o dyletantyzm *ad usum* salonów lub nawet buduarów, katechizm filozoficzny trącający dziecinną czasem symplifikacją zjawisk – ale równocześnie kipienie wdzierającego się życia, szalone tempo, swoboda, gorączka myśli żadna ogarnąć cały świat i wszystkie światy i od czasu do czasu rzucane w tym pośpiechu błyski genialnych improwizacji. Wielkie umysły tego wieku to jedna armia krocząca – mimo iż odmiennymi drogami – zwartą kolumną ku nowemu porządkowi rzeczy; każdy utwór – czy nim będzie ulotny epigram, czy dzieło o astronomii – to nowa szczerba w murach warowni przesądu i cegiełka przyczyniona do wznoszącego się gmachu przyszłego „królestwa rozumu”. Pisarz XVIII wieku to przede wszystkim *filozof*, który w działalności swej ma za cel doraźne, niecierpliwe uszczęśliwienie ludzkości,

i co najważniejsze posiada do tego celu mniej lub więcej niezawodne recepty.

Filozofem przede wszystkim był dla swoich współczesnych Diderot: tym mianem krótko nazywano go w Paryżu i każdy wiedział, o kim mowa. Rzutkość jego umysłu, rozległa wiedza ogarniająca niemal wszystkie działy nauki, olbrzymia pracowitość i osobiste zalety charakteru czyniły zeń idealnego pół-wodza, pół-impresaria falangi duchów gromadzących się pod wspólnym sztandarem około *Encyklopedii*. Popularność jego, nie tylko we Francji, ale w całej Europie, była olbrzymia. Jak każdy prawdziwy filozof XVIII w. miał i Diderot swoje koronowane głowy, które go obsypywały czułymi słówkami, z którymi korespondował i którym udzielał rad (niesłuchanych zresztą zazwyczaj) co do sztuki władania ludźmi¹. To wszystko byłoby aż nadto, aby ozdobić ulice Paryża i rodzinnego Langres² jego pomnikami, ale nie dosyć zapewne, aby dziś,

¹ *udzielał rad (...) co do sztuki władania ludźmi* – w czasie kilkumiesięcznego pobytu jego w Petersburgu Katarzyna II dużo i chętnie rozmawia z Diderotem; skarży się jedynie w liście do pani Geoffrin, iż „uda ma zupełnie obolałe i czarne od sińców” nabitych jej przez filozofa, równie bezceremonialnego w obejściu jak żywego w gestykulacji; w końcu jednak zniecierpliwiona nieco jego teoriami rzekła: „Panie Diderot, wysłuchałam z prawdziwą przyjemnością wszystkiego, co panu dyktuje jego świetny umysł; ale we wszystkich swoich planach reform zapomina pan o różnicy naszej obustronnej pozycji: pan pracujesz jeno na papierze równym i gładkim, który znieśie wszystko; podczas gdy ja, biedna cesarzowa, pracuję na skórze ludzkiej, materiale trochę bardziej drażliwym i łaskotliwym” (Pamiętnik księcia de Ligne). [przypis tłumacza]

² *rodzinne Langres* – urodził się w r. 1713 jako syn nożownika, z dynastii zacnych rzemieślników poważanych w miasteczku i okolicy. [przypis tłumacza]

gdy najśmielsze nowatorstwa XVIII w. dawno zostały przez życie przelicytowane, skłonić czytelnika do wzięcia w rękę jednego z kilkudziesięciu tomów dzieł niezmordowanego pracownika. Jednakże na szczęście wśród swych poważnych zajęć i prac kapitalnych zdarzało się Diderotowi strzepnąć z pióra jakąś błahostkę, niemal że nieznaną współczesnym i najbliższej potomności: i oto dziwną igraszką losu tych kilka książeczek stanowi dziś najtrwalszy jego pomnik w piśmiennictwie francuskim. „Nie istnieje może – pisze jego biograf – w żadnej historii literatury bardziej osobliwy fenomen: Diderot nappełnił epokę całą rozgłosem swych walk, a prawie wszystkie jego arcydzieła ukazały się w druku dopiero w długi czas po jego śmierci... Klasyczne *habent sua fata libellii* nigdy nie było tak prawdziwe, jak w odniesieniu do dzieł Diderota. *Encyklopedia* utonęła w falach Rewolucji; z książek, jakie wydał za życia, zaledwie da się przeczytać jaką setkę stronic. Przeciwnie, rękopisy, którym pozwolił drzemać w szufladach stolika lub które trwożliwie krążyły po świecie w nielicznych kopiach, często niezbyt poprawnych, wszystko to, co mniemał, iż rzuca na wiatr lub też, co grzebał w zakątkach swego gabinetu, obudziło się kolejno nasilonym życiem i to, co tworzy dziś chwałę filozofa, było nieznanne lub prawie że nieznanne jego epoce³”.

Fakt jeszcze osobliwszy: niektóre z najślawniejszych (dzisiaj) jego dzieł ukazały się po raz pierwszy w języku francuskim jako przekład z niemieckiego przekładu!... Tak było z utworem

³ biograf – Reinach, *Diderot*. [przypis tłumacza]

Neveu de Rameau, którego rękopis (jedyne) Goethe, fanatyczny wielbiciel Diderota⁴, otrzymał od Schillera, przełożył „całą duszą” i opatrzywszy własnymi ciekawymi notami, wydał w r. 1805, w 45 lat po stworzeniu tego niepospolitego dialogu; w kilkanaście lat później dwóch rzeźmieszków literackich wydało po francusku przekład z przekładu niemieckiego jako rzekomy oryginał Diderota.

Dlaczego Diderot był tak oględny czy nieśmiały w wypuszczaniu na świat rękopisów? Czyżby z obawy represji osobistych? Ależ represje te – zwłaszcza wobec słabości rządu i przesiąknięcia najwyższych sfer i osobistości nowymi doktrynami – nie były zbyt srogie i były czymś bardzo powszechnym w życiu ówczesnego pisarza i „filozofa”. Wydawało się książkę, broszurę czy pamflet bezimiennie, najczęściej za granicą; w razie sądowego dochodzenia zapierało się solennie autorstwa, w ostateczności odsiadywało parę miesięcy w więzy lub uciekało za granicę, skąd padały niebawem nowe zatrute strzały w „tyranię” i „przesady”. Wolter przesiedział kilka miesięcy w Bastylii, co jego biograf uważa za wdzięczny sposób zdobycia rozgłosu lekkim kosztem. Kolejno przebywa w Anglii, w Prusach, w Szwajcarii; zaś na ostatnie dwadzieścia lat życia rozwiązuje tę kwestię z bajecznym

⁴ *Goethe, fanatyczny wielbiciel Diderota – „Diderot ist Diderot, ein einzig Individuum; wer an ihm oder seinen Schriften mäkel, ist ein Philister, und deren sind Legionen. Wissen doch die Menschen weder von Gott, noch von der Natur, noch von ihresgleichen dankbar zu empfangen, was unschätzbar ist” (Goethe do Zeltera, 9 marca 1831).*
[przypis tłumacza]

komfortem: buduje wspaniałą rezydencję – na ziemi francuskiej wprawdzie, ale na samej granicy, o pół godziny od Genewy; tu, w swoim Ferney, może do syta grywać w domu teatr, który w czasie pobytu w Szwajcarii był kamieniem obrazy dla surowego protestantyzmu mieszkańców; w razie zaś oznak niezadowolenia z jego pism i osoby u rządu francuskiego, wystarcza mu zaprząć konie do pojazdu, aby za chwilę znaleźć się na wolnej ziemi Helwetów. Mniej praktyczny i mniej szczęśliwy od Woltera Rousseau lata całe spędza na wygnaniu, skąd brzmieniem swego głosu napełnia Europę. Ale Diderot obciążony był przez kilkadziesiąt lat swej twórczości balastem, który nie tylko był mu przeszkodą w dłuższej odmianie miejsca pobytu, ale nadto dawał w rękę sferom rządzącym najpewniejszy fant „prowadzenia się” filozofa. Była nim *Encyklopedia*. Przedsięwzięcie to, zrazu zakreślone przez księgarza w dość skromnych rozmiarach jako przekład angielskiego *Słownika* i podjęte przez Diderota bez zapału, głównie dla zapewnienia na szereg lat ubogiego, lecz pewnego bytu rodzinie, niebawem ożywione duchem tego wielkiego *pantofila*, jak go nazywał Wolter, chciwego poznania i ogarnięcia wszystkiego, co ludzkie, przekształca się w dzieło jedno z najrozleglejszych, na jakie do owego czasu ważył się duch ludzki, i niemal na całe życie przykuwa swego twórcę do taczki. Otóż niebawem po rozpoczęciu tego przedsięwzięcia ogłosił Diderot rozprawę pt. *Lettre sur les aveugles*; tę (z ubocznych przyczyn, w których draśnięta próżność przyjaciółki ministra miała odgrywać główną

rolę) przypłacił kilkutygodniowym więzieniem w turmie w Vincennes. *Larum*, jakie podnieśli księgarze i wydawcy Encyklopedii, nieskończone trudności z prowadzeniem redakcji dzieła, porozumiewaniem się z współpracownikami, rewizją plansz etc., nauczyły Diderota cenić wolność osobistą więcej, niż by to może uczynił wzgląd na własną skórę. Niebawem sfery rządzące, a bardziej jeszcze jezuita, spostrzegli się, jak potężną bronią w szerzeniu nowej doktryny stała się Encyklopedia, w której pod skorupą naukowej informacji z każdym słowem wciskały się w społeczeństwo idee przewrotu. Cudów zręczności, wytrwałości było trzeba ze strony Diderota, aby przez dziesiątki lat prowadzić dzieło to, niejednokrotnie zawieszane, dławione, to znów wskrzeszane dzięki umiejętnym zabiegom. Stało się ono umiłowanym dzieckiem jego życia, jego dumą, przy tym było olbrzymim przedsięwzięciem finansowym⁵, angażującym niemal na miliony wydawców i zapewniającym byt szeregowi pracowników. Każda nieostrożność, każde zuchwalstwo Diderota groziło Encyklopedii; dlatego to, być może, więził on w szufladach najlepsze utwory, dlatego godził się niejednokrotnie, z większym pewnie jeszcze bólem, myśli swą przykrawać, łagodzić i wypaczać w szczegółach, aby ocalić całość. Dla innej natury byłoby to może nie do zniesienia:

⁵ *było olbrzymim przedsięwzięciem finansowym* – subskrypcja na egzemplarz *Encyklopedii* wynosiła tysiąc franków, co Wolterowi, zasypującemu Francję ulotnymi tanimi broszurkami, dało temat do konceptu, że „gdyby Ewangelia kosztowała 1200 sestercji, chrześcijaństwo nigdy nie byłoby się rozpowszechniło”. Mimo to ilość subskrybujących *Encyklopedię* przynosiła 4000 osób. [przypis tłumacza]

Diderotowi czynił lżejszymi te przykrości zupełny niemal brak próżności autorskiej i niebywała zaiste rozrzutność myśli i talentu. Potrzebował wydzielić z siebie nadmiar kipiącego wrzątku: czy się to stało w rozmowie, której bogactwo sławią współcześni jednym głosem, czy w pomysłach, które rozdawał na prawo i lewo, ciesząc się, gdy je odnajdywał w pismach przyjaciół, czy w tomach całych, które oddawał im do rozporządzenia, pozwalając drukować pod ich nazwiskiem, czy w listach, w których rzucał garściami najświetniejsze myśli – to było dlań rzeczą podrzędnej wagi. Najtypowszy⁶ w tym jako pisarz XVIII wieku, większą czuł potrzebę swoim słowem *działać*, niżeli skupić je w *dzieło*.

Podczas gdy w Niemczech wpływ Diderota, poczynając od Goethego, Schillera, a zwłaszcza Lessinga, był w pewnej epoce bardzo żywy, w Polsce śladów jego nie spotykamy niemal zupełnie. Dramat *Père de famille*, przyswojony dla sceny przez Wojciecha Bogusławskiego pt. *Ojciec rodziny*⁷, oto wszystko. We Francji sztuka ta, sama przez się bardzo słaba, odegrała rolę „programową” jako zwiastowanie nowożytnego dramatu mieszczańskiego oraz pierwsze dążenie do „realizmu” na scenie. W ostatnich czasach wreszcie ukazał się po polsku w bibliotece „Symposionu” dialog *Neveu de Rameau*⁸.

⁶ najtypowszy – dziś popr.: najbardziej typowy. [przypis edytorski]

⁷ *Ojciec rodziny* – wyszedł w druku w zbiorowym wydaniu dzieł Bogusławskiego, Berlin 1841. [przypis tłumacza]

⁸ *Neveu de Rameau* – *Kuzynek mistrza Rameau*, przekład L. Staffa, Lwów 1910.

Jacques le fataliste et son maître napisany został w roku 1773 (Diderot liczył wówczas 61-szy rok życia), podczas pobytu lub zaraz po powrocie z Rosji i Holandii. Podobnie jak wiele innych utworów pozostał w tece autora, lecz musiał w odpisach przedostać się za granicę, gdyż w r. 1785 (w rok po śmierci pisarza) Schiller ogłosił po raz pierwszy w dzienniku *Thalie* przekład opowiadania o zemście pani de La Pommeraye⁹, które znowuż z powrotem przełożono na francuski pt. *Exemple singulier de la vengeance d'une femme*. Mylius w r. 1792 przetłumaczył całą książkę. „Jest to – powiada – jedno z najcenniejszych dzieł niedrukowanej puścizny literackiej Diderota. Ta mała powiastka niełacno będzie mogła być ogłoszona drukiem w języku ojczystym autora. Istnieje w Niemczech jakie dwadzieścia jej kopii, ale pod ścisłą dyskrecją. Mają być przechowane poufnie i nigdy nie ujrzeć światła dziennego. Jednej z kopii zechciano użyć tłumaczowi pod uroczystym przyrzeczeniem, iż tekst francuski nie będzie oddany do druku”. W języku francuskim ukazał się *Jacques* w r. 1796; w szeregu następnych lat doczekał się licznych wydań, a w roku 1826 konfiskaty, ogłoszonej w „Monitorze”. Dzisiejszemu czytelnikowi wydać się może niepojęte, w jaki sposób ta niewinna książeczka mogła się stać tak ciężkim kamieniem obrazy i budzić podobne obawy i ostrożności.

[przypis tłumacza]

⁹ *opowiadanie o zemście pani de La Pommeraye* – Opowiadanie to bardzo traci zbite w ten sposób w nowelę i kiedy się zeń wyrzuci przemile „interludia” szampańskiego wina zacnej gospodyni. [przypis tłumacza]

Inaczej przedstawia się rzecz, skoro bodaj trochę wżyjemy się w atmosferę współczesną jej powstaniu. Wówczas odczujemy, w ilu szczegółach jej lekkiej budowy tkwi krytyka dogorywającej epoki, ile rysów jej przeświała swym blaskiem bliska rewolucja. Najpierw – co może mniejszą stanowiłoby troskę dla świeckich i duchownych rządów – rewolucja literacka. „Wielką wartością (notuje w r. 1886 Edmund de Goncourt), wielką oryginalnością Diderota – nikt tego nie zauważył – jest to, iż wprowadził w poważną i porządną prozę książki żywość, werwę, błyskotliwość, bezład nieco szalony, zgiełk, gorączkowe życie *rozmowy*: rozmowy artystów, z którymi pierwszy z pomiędzy pisarzy francuskich przestawał w poufalej zażyłości”.

„Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? Na co wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co mówili? Pan nic. Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego zapisane jest w górze.

PAN: Oto mi wielkie słowo.

KUBUŚ: Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na świat z rusznicy ma swój adres.

PAN: I miał słuszność...”

Oto wprowadzenie w materię, a ten kaprys, pod którego znakiem rozpoczyna się utwór, towarzyszyć mu będzie aż do ostatniej karty. Pan ze swoim sługą człapią, nie spiesząc się, konno; dla skrócenia nudów drogi sługa, niezmordowany

gawędziarz, opowiada historię „swoich amatorów”. Historia ta ciągnie się aż do ostatniej stronicy, przerywana tysiącnymi dygresjami, anegdotami, wypadkami. Autor niby żongler cyrkowy podrzuca swój temat na rakiecie, aż ginie gdzieś pod stropem, chwytą go i podbija znów nosem, głową, nogą: już, zdawałoby się, pada i znowuż wzlatuje w górę wyżej jeszcze niż wprzód. Jakżeśmy daleko odbiegli od współczesnych utworów! Sam Wolter w swoich powiastkach, lekki, kapryśny, ironiczny Wolter, stanowi w porównaniu z *Kubusiem* klasyczny wzór ładu i ciągłości. Diderot jak cały wiek XVIII *filozofuje* pod wszelką postacią, ale w tej filozofii ileż jest życia, jak nic jej nie czuć atramentem! W abstrakcyjnej precyzji i symetrii współczesnej psychologii Diderot przedstawia inwazję niezwyklej świeżości i bogactwa elementów. A w samym tekście książki ileż rysów mimochodem rzuconej krytyki literackiej: persyflażu owych modnych romansów epoki, opartych na błahym wikłaniu nieskończonych spotkań i przygód, drewnianej alegorii, pedantycznych „portretów”, które z taką słusnością niecierpliwą Kubusia, komicznego baroku mów pochwalnych etc. etc. Trudno wyliczać wszystkie szczegóły, które dla nas są zużyte, a które dla swej epoki były czymś zupełnie nowym. Jestem przekonany, iż w stosunku do wielu czytelników *Kubus fatalista* wyda się w fakturze i dziś jeszcze raczej nadto śmiałym.

Ale w *Kubusiu Fataliście* mieszczą się i elementy innej, prawdziwej rewolucji, która niebawem miała we Francji zwalić stary porządek rzeczy. Szeroki powiew demokratyczny tej

książeczki, brak poszanowania dla wszelkiego autorytetu, obok silnej dążności do wartości moralnych, nieraz przechodzącej aż w czułośćkowość, wszystko to na tle wrodzonej prawości, pogody i dzielności charakteru Kubusia, czyni zeń, może bez intencji autora, symbol rodzącej się Francji ludowej; symbol szlachetniejszy może i pełniejszy niż młodszy jego kolega po fachu, Figaro, który niebawem przez trzy lata będzie kołatać próżno do sceny francuskiej. Pan Kubusia ziewa, zażywa tabakę, zadaje pytania; Kubuś go bawi, za niego myśli, administruje jego mieszkaniem, za niego nadstawia karku; czyż to nie rola szlachty i ludu w XVIII wieku we Francji? A czy może być silniejszy kontrast niż niewinne i uczciwe „amory” Kubusia i Dyzi a brzydka przygoda jego pana, w której ten, mimo iż wcale nie najostatniejszy okaz z ostatnich *petit-maître'ów*, przedstawia się po trosze jako łajdak i głupiec w dodatku? Wystarczy, aby na tę świadomość, głęboko wnikającą w naród, padła iskra namiętności, a pokolenie Kubusiów jednym zamachem zmiecie z powierzchni ziemi rasę swoich Panów wraz z ich zegarkiem, tabakierką i sympatią dla filozofii. Refleksje Kubusia nad tym, komu pisana jest przepowiednia katowskiego konia, nabierają mimo woli autora oświecenia szczególnie *macabre* wobec bliskich wypadków przyszłości. „Tak było napinane w górze”, powiedział sobie zapewne pan Kubusia, wstępując na gilotynę, o ile skorzystał z nauk swego dobrego sługi.

Goethe powiada o tej powiastce¹⁰, iż jest to „potrawa ze

¹⁰ Goethe (...) o tej powiastce – list do Mercka z 7 kwietnia r. 1780. [przypis

wszech miar wyborna i podana z cudownym zrozumieniem sztuki kuchmistrza i *maître d'hôtel*". Zapewne smak naszych podniebień jest dzisiaj, nie powiem wykwintniejszy, ale inny; jednakże dobrze jest czasem dla odmiany skosztować coś z owych przysmaków, które stanowiły delicje naszych prapradziadów. W tym rozumieniu puszczam w świat niniejszą książeczkę, mimo iż pora nie jest zbyt pomyślna dla oglądania się w przeszłość i gustów „klasycznych”. Praca ta była miłym wytchnieniem wśród innych, smutnych nieraz, obowiązków, jakie nałożyła mi chwila bieżąca.

Boy.

Kraków, w czerwcu 1915.

Kubuś fatalista i jego pan

Jak się spotkali? Przypadkiem, jak wszyscy. Jak się zwali? Na co wam ta wiadomość? Skąd przybywali? Z najbliższego miejsca. Dokąd dążyli? Alboż kto wie, dokąd dąży? Co mówili? Pan nic, Kubuś zaś, iż jego kapitan mawiał, że wszystko, co nas spotyka na świecie dobrego i złego zapisane jest w górze.

PAN: Oto mi wielkie słowo!

KUBUŚ: Mówił jeszcze, iż każda kula, która wylatuje na świat z rusznicy, ma swój adres¹¹.

PAN: I miał słuszość...

Po krótkiej pauzie Kubuś zakrzyknął: „Niech diabeł porwie szynkarza i jego gospodę!”.

PAN: Dlaczego wysyłać do diabła bliźniego swego? To nie po chrześcijańsku.

KUBUŚ: Ano bo tak: zalałem pałkę lichym wińskim, zapomniałem napoić konie. Ojciec widzi to i wpada w złość. Ja wzruszam ramionami; on bierze kija i naciera mi nieco

¹¹ *Mówił jeszcze, iż każda kula (...) ma swój adres* – uwaga ta, stanowiąca punkt wyjścia gawędy Kubusia i jego pana, znajduje się w tym samym brzmieniu u Sterne'a (*Życie i mniemania Tristrama Shandy*, ks. VIII, rozdz. CCLXIII). Na ogół naśladownictwo Sterna, z którego nieraz czyniono zarzut tej powiastce, ogranicza się do paru szczegółów zaczerpniętych zeń tak jawnie i niemal dosłownie, iż trzeba w tych analogiach z modną naówczas we Francji powieścią angielskiego pisarza widzieć raczej świadomą zabawkę autora zgodną ze stylem całego opowiadania. [przypis tłumacza]

przytwardo plecy. Jakiś pułk przechodzi właśnie przez wieś, śpiesząc pod Fontenoy¹²; ze złości zaciągam się w rekruty. Przybywamy; zaczyna się bitwa...

PAN: I dostajesz kulę pod swoim adresem.

KUBUŚ: Zgadł pan; postrzał w kolano; Bogu tylko wiadomo, co za dobre i złe przygody sprowadził na mnie ten postrzał. Trzymają się jedna drugiej ni mniej ni więcej jak ogniwa łańcuszka. Ot, gdyby nie ten postrzał, sądzę, że nigdy w życiu nie byłbym ani zakochany, ani kulawy.

PAN: Byłeś tedy zakochany?

KUBUŚ: Czy byłem! dobre pytanie!

PAN: Z powodu postrzału?

KUBUŚ: Z powodu postrzału.

PAN: Nigdyś mi o tym nie rzekł ni słowa.

KUBUŚ: Myślę sobie.

PAN: I dlaczego?

KUBUŚ: Dlatego, iż to słowo nie mogło paść ani wcześniej, ani później.

PAN: I chwila opowiedzenia twoich amorów nadeszła?

KUBUŚ: Kto to wie?

PAN: Na wszelki wypadek, zaczynaj...

Kubuś rozpoczął historię swoich amorów. Było to po obiedzie; czas był parny; pan zdrzemnął się. Noc zaskoczyła

¹² pod Fontenoy – zwycięska bitwa pod Fontenoy pod wodzą Maurycego Saskiego w r. 1745. [przypis tłumacza]

ich w polu; zbłądzili. I oto pan wpada w straszliwy gniew i nie szczędzi tęgich razów słudze, nieborak zaś powtarza za każdym ciosem: „I ten musiał być widocznie zapisany w górze”...

Widzisz, czytelniku, że jestem na ładnej drodze i że ode mnie by tylko zależało kazać ci czekać rok, dwa, trzy lata na opowieść o amorach Kubusia, rozłączając go z panem i kazać każdemu z osobna wędrować poprzez wszystkie przygody, jakie by mi się spodobało wyroić. Cóż by mi przeszkodziło ożenić pana i przyprawić mu rogi? wyprawić Kubusia na dalekie wyspy? zapędzić tam jego pana? sprowadzić obu z powrotem do Francji na jednym statku? Cóż łatwiejszego jak klecić powieści! Ale tym razem wykpią się oba ze sprawy jedną niezbyt mile spędzoną nocą, a wy tym małym opóźnieniem.

Zaczęło świtać; nasi podróżni dosiedli koni i ruszyli swoją drogą. – A dokąd jechali? – Już drugi raz zadajecie to pytanie i drugi raz odpowiadam: na co wam wiedzieć? Skoro raz tknę się przedmiotu ich podróży, bywajcie zdrowe, miłostki Kubusia... Wędrowali jakiś czas w milczeniu. Gdy każdy otrząsnął się nieco ze swego zmartwienia, pan rzekł: „I cóż, Kubusiu, gdzieśmy utknęli w twoich amorach?”.

KUBUŚ: Utknęliśmy, o ile mi się zdaje, na porażce nieprzyjacielskiej armii. Jedni uciekają, drudzy gonią, każdy myśli o sobie. Zostaję na polu bitwy zagrzebany pod mnogością zabitych i rannych, zaiste niezliczoną. Nazajutrz rzucono mnie wraz z tuzinem innych na wóz, aby nas zawieźć do szpitala. Och! panie, nie sędzę, aby istniało w świecie coś okrutniejszego niż

rana w kolano.

PAN: Żartujesz chyba, Kubusiu.

KUBUŚ: Nie, panie, dalibóg nie żartuję! Jest tam nie wiem ile kości, ścięgien i innych rzeczy poprzyzywanych sam nie wiem jak...

Jakiś człowiek, który człapał za nimi na koniu, wioząc za sobą oklep młodą dziewczynę, usłyszał te słowa i rzekł: „Pan ma słuszność”...

Nie wiadomo było, do kogo się odnosi to „pan”, ale spotkało się zarówno u Kubusia, jak i jego pana, z nieszczęśliwym przyjęciem; Kubuś zaś rzekł do natręta: „Czego ty nos wściubiasz?”.

– Wściubiam nos do mego rzemiosła; jestem chirurg do usług pańskich, wykażę...

Kobieta, którą wioził za sobą, rzekła: „Panie doktorze, jedźmy swoją drogą i zostawmy tych panów, którzy nie lubią, aby im wykazywać...”.

– Nie – odparł chirurg – chcę wykazać i wykażę...

I odwracając się, aby wykazać, popycha towarzyszkę, pozbawia ją równowagi i strąca na ziemię z jedną nogą zaczepioną o poły jego ubrania i spódnicami zawiniętymi na głowę. Kubuś schodzi z konia, uwalnia nogę biednej istoty i obciąża spódnice: nie wiem, czy zaczął od uwolnienia nogi, czy od obciążenia spódnic; ale o ile by się sądziło o stanie tej kobiety z jej krzyków, musiała snadź ulec dotkliwemu zranieniu. Zaś pan Kubusia rzekł do chirurga: „Oto co znaczy wykazywać”.

A chirurg: „Oto co znaczy nie chcieć komuś pozwolić wykazać!”...

A Kubuś do kobiety leżącej, czy też pozbieranej z ziemi: „Pociesz się, dobra duszo, to ani twoja wina, ani pana doktora, ani moja, ani też mego pana: było napisane w górze, iż dzisiaj na tym gościńcu, o tej właśnie godzinie, pan doktor będzie gadułą, że mój pan i ja będziemy parą mruków, że ty nabijesz sobie sińca na głowie i że ujrzymy u ciebie odwrotną stronę medalu...”.

W cóż by nie urosła ta przygoda w moim ręku, gdyby mi przyszła fantazja znęcać się nad wami! Uczyniłbym z tej kobiety jakąś ważną osobę; poruszyłbym kmiotków z całej parafii, wznieciłbym boje i miłości; trzeba bowiem przyznać, iż ta córka wsi kryła rzadkie uroki pod swoją parcianką. Kubuś i jego pan zauważyli to; toć nieraz ani tyle nie było potrzeba, aby rozniecić miłość. Dlaczego Kubuś nie miałby się zakochać po raz drugi? dlaczego by po raz drugi nie miał stać się rywalem, ba, zwycięskim rywalem swego pana? – A czy już zaszło kiedy coś podobnego? – Ciągłe pytania! Nie chcecie tedy, aby Kubuś wiódł dalej historię swoich amorów? Porozumiejmyż się wreszcie, raz na zawsze: chcecie, czy nie? Jeżeli tak, w takim razie posadźmy wieśniaczkę z powrotem na siodło przewodnika, pozwólmy im jechać dalej i wróćmy do naszych podróży. Tym razem Kubuś zabrał głos i rzekł:

– Oto sądy ludzkie: pan, który nie byłeś zraniony w swoim życiu i nie wiesz, co to postrzał z rusznicy w kolano, utrzymujesz w żywe oczy mnie, który miałem kolano strzaskane i kuleję od

dwudziestu lat...

PAN: Może i masz słuszość. Ale ten zatracony chirurg jest przyczyną, iż jeszcze oto gnieciesz się na wózku z kompanami daleko od szpitala, daleko od wyleczenia i daleko od zakochania się.

KUBUŚ: Co bądź się panu podoba o tym rozumieć, ból, jakiego doznawałem w kolanie był nie do zniesienia; a potęgował się jeszcze od niewygód wehikułu, nierówności drogi, tak iż za każdym wstrząśnieniem wydawałem przeraźliwe krzyki.

PAN: Ponieważ było napisane w górze, iż będziesz krzyczał?

KUBUŚ: Z pewnością! Krew uchodziła ciurkiem i byłbym niechybnie wyzionął ducha, gdyby nasz wózek, ostatni ze sznura ciągnących wozów, nie zatrzymał się przed jakąś chałupą. Zacząłem się domagać, aby mnie zszadono; ułożono mnie na ziemi. Młoda kobieta stojąca w progu weszła do chaty i wnet ukazała się ze szklanką i butelką wina. Wypiłem pospiesznie parę łyków. Wózki jadące przed naszym ruszyły. Już miano mnie rzucić z powrotem między towarzyszy niedoli, kiedy uczepiwszy się mocno sukien tej kobiety, zakląłem się, że nie wsiądę z powrotem i że jeśli mam umierać, wolę już skończyć tu, na miejscu, niż o dwie mile dalej. Domawiając ostatnich słów, omdlałem. Ocknąłem się w łóżku, w niewielkiej izdebce; koło mnie stał jakiś wieśniak, widocznie gospodarz domu, jego żona (ta sama, która udzieliła mi pomocy) i kilkoro drobnych dzieci. Kobieta umaczała róg fartucha w occie i nacierała mi czoło i skronie.

PAN: A, łotrze! a, zdrajco!... Widzę już, hultaju, dokąd zmierzasz.

KUBUŚ: A ja sędzę, że pan nic nie widzi.

PAN: Nie w tej oto kobiecie gotujesz się zakochać?

KUBUŚ: A gdyby i tak było, cóż by można na to powiedzieć? Czy człowiek ma władzę zakochania się lub niezakochania? A kiedy jest zakochany, czy może postępować tak, jakby nim nie był? Gdyby tak było zapisane w górze, byłbym sobie sam powiedział wszystko, co pan masz zamiar mi powiedzieć; byłbym się wypoliczkował; tłukłbym głową o mur; wydzierał sobie włosy; wszystko to nie posunęłoby sprawy ani w tył, ani naprzód i mój dobroczyńca byłby rogalem.

PAN: Ale rozumując na twój sposób, nie ma zbrodni, której by nie można popełnić bez wyrzutów sumienia.

KUBUŚ: To, co pan mi zarzuca, niejednokrotnie trafiło moją mózgowicę; mimo wszystko, powracam zawsze do poglądów mego kapitana: wszystko, co nam się trafia dobrego lub złego na ziemi, jest zapisane w górze. Czy zna pan jaki sposób, aby wymazać to pismo? Czy mogę nie być sobą? A będąc sobą, czy mogę postępować inaczej od siebie? Czy mogę być sobą i kim innym? I od czasu, jak jestem na świecie, czy była bodaj jedna chwila, w której by to nie było prawdą? Wyróżnij pan kazań, ile się panu spodoba, pańskie racje mogą być doskonałe; ale jeśli jest napisane we mnie albo tam w górze, iż mnie nie trafią do smaku, cóż ja mogę na to poradzić?

PAN: Dumam nad jedną rzeczą: mianowicie czy ty

przyprawiłeś rogi swemu dobroczyńcy, ponieważ to było napisane w górze, lub też czy to było napisane w górze, ponieważ miałeś przyprawić rogi swemu dobroczyńcy?

KUBUŚ: I jedno, i drugie było napisane obok siebie. Wszystko było napisane od razu. To niby wielka wstęga, która rozwija się po troszeczku...

Rozumiesz, czytelniku, dokąd mógłbym prowadzić tę rozmowę, na której temat tyle się już nagadano, tyle napisano od dwóch tysięcy lat, nie posunąwszy rzeczy ani o krok naprzód. Jeśli nie czujesz dla mnie nieco wdzięczności za to, co mówię, powinieneś jej mieć sporo za to, czego ci oszczędzam.

Podczas gdy nasi dwaj teologowie dysputowali, nie mogąc dojść do porozumienia, jak się to czasem zdarza w teologii, zbliżała się noc. Jechali okolicą niezbyt pewną w każdym czasie, a jeszcze o wiele mniej w owym, gdy zła administracja i nędza pomnożyły bez liku ilość złoczyńców. Zatrzymali się w bardzo nędznej gospodzie. Ustawiono im dwa składane łóżka w klitce wół otwartej na wsze strony. Zażądali wieczerzy. Przyniesiono wody z kałuży, czarnego chleba i skwaśniałego wina. Gospodarz, gospodyni, dzieci, służba, wszystko miało wygląd podejrzany. Słyszeli przez ścianę nieumiarkowane śmiechy i hałaśliwą wesołość kilku opryszków, którzy przybyli wcześniej i sprzątnęli im przed nosa wszystkie zapasy. Kubuś był dość spokojny; panu wiele brakowało do tego stanu. Przechadzał się zafrasowany wzdłuż i wszerz, podczas gdy sługa pochłaniał spore kęsy

czarnego chleba i krzywiąc się, łykał jedną i drugą szklanę lichego wina. Gdy się tak zabawiali, usłyszeli pukanie do drzwi; był to służący. Owi zuchwali i niebezpieczni sąsiedzi zmusili go, aby zaniósł naszym podróżnym brudny talerz, na którym złożyli kości z drobiu pochłoniętego na wieczerzę. Kubuś oburzony chwyta pistolety.

– Gdzie idziesz?

– Niech mnie pan puści.

– Gdzie idziesz, powiadam.

– Nauczyć rozumu tę kanalię.

– Czy wiesz, że ich jest z jaki tuzin?

– Choćby było stu, liczba nic nie znaczy, jeśli jest napisane w górze, że nie będzie wystarczająca.

– Niechże cię diabeł porwie z twoim nedorzecznym przysłowiem!...

Kubuś wyrywa się z rąk pana, wchodzi do izby rzezimieszków, trzymając w każdej ręce nabity pistolet. „Prędko, kłaść mi się zaraz – rzecze – pierwszemu, który się ruszy, pałę w łeb”... Mina i ton Kubusia były tak wymowne, iż hultaje, którzy cenili życie nie gorzej od każdego uczciwego człowieka, wstali od stołu, nie pisnąwszy słówka, rozebrali się i położyli. Pan Kubusia, niepewny w jaki sposób skończy się przygoda, czekał nań cały drżący. Kubuś powrócił obładowany odzieniem tych ludzi; zabrał je z sobą, aby im nie przyszła pokusa wstać z łóżek; zgasił światło i zamknął drzwi na dwa spusty, trzymając klucz w dłoni wraz z jednym z pistoletów. „A teraz, panie – rzekł

do chlebodawcy – wystarczy zabarykadować się, przysuwając łóżka do drzwi, i możemy spać spokojnie...” I wraz zabrał się do przesuwania łóżek, opowiadając zwięźle i sucho szczegóły wyprawy.

PAN: Ej, Kubusiu, co z ciebie za człowiek! Więc ty wierzysz...

KUBUŚ: Nic nie wierzę, ani nie niewierzę.

PAN: A gdyby się wzdragali położyć?

KUBUŚ: Ty było niemożliwe.

PAN: Dlaczego?

KUBUŚ: Ponieważ tego nie uczynili.

PAN: A gdyby wstali?

KUBUŚ: Tym gorzej lub tym lepiej.

PAN: Gdyby... gdyby... gdyby... i...

KUBUŚ: Gdyby... gdyby morze zaczęło wrzeć, siła ryb by się ugotowało, jak powiadają. Cóż u diaska przed chwilą myślał pan, iż ja narażam się na wielkie niebezpieczeństwo: wierutny fałsz; teraz wyobrażasz sobie, iż sam jesteś w wielkim niebezpieczeństwie; być może hipoteza równie fałszywa. Wszyscy w tym domu boimy się jedni drugich; co dowodzi, że wszyscy jesteśmy głupcy...

Tak rozprawiając, rozebrał się, ułożył i zasnął. Pan, zjadając z kolei kawałek czarnego chleba i wychylając łyk kwaśnego wina, nadśluuchiwał dokoła i patrząc na chrapiącego Kubusia, myślał: „Cóż za człowiek!...”. W końcu za przykładem sługi wyciągnął

się również na pryczy, ale nie usnął ani na chwilę. Z pierwszym braskiem Kubuś uczuł, że ktoś go trąca; była to dłoń pana, który wołał po cichu: „Kubuś! Kubuś!”.

KUBUŚ: Co takiego?

PAN: Dnieje.

KUBUŚ: Być może.

PAN: Wstawaj.

KUBUŚ: Po co?

PAN: Po to, aby się stąd wynieść jak najprędzej.

KUBUŚ: Po co?

PAN: Bośmy źle trafili.

KUBUŚ: Kto to wie; jak również, czy lepiej trafimy gdzie indziej?

PAN: Kubuś?

KUBUŚ: I cóż, Kubuś, Kubuś! Co z pana za człowiek!

PAN: Co z ciebie za człowiek! Kubuś, mój złoty, proszę cię.

Kubuś przetarł oczy, ziewnął na kilka zawodów, przeciągnął się, wstał, ubrał się bez pośpiechu, odsunął łóżko, wyszedł z izby, zeszedł na dół, udał się do stajni, osiodłał konie, założył im uzdę, obudził śpiącego jeszcze gospodarza, zapłacił należność, zatrzymał klucze od obu pokoi i podróżni ruszyli w drogę.

Pan chciał wypuścić galopa, Kubuś chciał jechać stępo, zawsze w myśl swej zasady. Gdy już byli o spory kawał drogi od żałosnego noclegu, pan, słysząc iż coś podzwania w kieszeni Kubusia, zapytał, co to takiego; na co Kubuś odparł, iż to klucze

od pokoi.

PAN: Dlaczegoż ich nie oddałeś?

KUBUŚ: Bo w ten sposób trzeba będzie wywazać dwoje drzwi: naszych sąsiadów, aby wydobyć ich z uwięzienia, i nasze, aby odzyskać ich odzież; dzięki temu zyskamy na czasie.

PAN: Wybornie, Kubusiu! Ale dlaczego chcesz zyskać na czasie?

KUBUŚ: Dlaczego? Na honor, sam nie wiem.

PAN: I jeżeli chcesz zyskać na czasie, dlaczego jedziemy tym wolniutkim truchtem?

KUBUŚ: Dlatego iż, nie wiedząc, co jest napisane tam w górze, człowiek nie wie, ani czego chce, ani co czyni; idzie za swoim urojeniem, które nazywa się rozumem, albo za swoim rozumem, który często jest jeno niebezpiecznym urojeniem obracającym się czasem na dobre, czasem na złe.

PAN: Czy mógłbyś mi powiedzieć, co to wariat, a co człowiek rozumny?

KUBUŚ: Czemu nie?... wariat... zaczekaj pan... to człowiek nieszczęśliwy; a za tym idzie, iż człowiek szczęśliwy jest rozumny.

PAN: A co to jest człowiek szczęśliwy lub nieszczęśliwy?

KUBUŚ: Co to, to bardzo łatwe. Człowiek szczęśliwy to ten, którego szczęście zapisane jest w górze; tym samym ten, którego nieszczęście zapisane jest w górze, jest człowiekiem nieszczęśliwym.

PAN: A któż jest ten, kto pisze tam w górze szczęście i nieszczęście?

KUBUŚ: A kto jest ten, kto uczynił ów wielki zwój, gdzie wszystko jest zapisane? Pewien kapitan, przyjaciel mego kapitana, chętnie byłby dał bitego talara, aby to wiedzieć; kapitan sam nie dałby ani szeląga, ani ja też nie; na co by mi się to zdało? Czy uniknąłbym przez to dziury, w której mam kark skrócić?

PAN: Myślę, że tak.

KUBUŚ: Ja myślę że nie; musiałyby bowiem być jakaś kreska fałszywa w wielkim zwoju, który zawiera prawdę, samą prawdę i całą prawdę. Byłoby napisane na wielkim zwoju: „Kubuś skróci kark tego a tego dnia” i Kubuś nie skróciłby karku? Czy wyobraża pan sobie, że to możliwe bez względu na to, komu przypiszemy autorstwo wielkiego zwoju?

PAN: Wiele by rzeczy można powiedzieć w tej kwestii...

KUBUŚ: Mój kapitan mniemał, iż roztropność jest to przypuszczenie, w którym doświadczenie upoważnia nas do patrzenia na dane okoliczności jako na przyczyny pewnych skutków, jakich możemy się spodziewać lub obawiać na przyszłość.

PAN: I ty co z tego rozumiesz?

KUBUŚ: Zapewne; stopniowo włożyłem się do jego języka. Ale, powiadał, kto może się chlubić, iż ma dosyć doświadczenia? Ten, który sobie pochlebiał, iż najlepiej jest w nie zaopatrzony, czy nigdy się nie oszukał? A potem, czy istnieje człowiek zdolny trafnie ocenić okoliczności, w jakich się znajduje? Rachunek,

jaki czynimy w naszych głowach, a ten, który zapisany jest w rejestrach tam w górze, to dwie rzeczy bardzo różne. Zali¹³ to my kierujemy losem albo też los kieruje nami? Ileż zamysłów roztropnie wykonanych chybiło i jeszcze chybi! Ile niedorzecznych zamysłów powiodło się i ile się powiedzie! Oto co mi powtarzał kapitan po wzięciu Berg-op-Zoom i Port Mahon; dodawał, że przezorność nie daje pewności dobrego wyniku, ale daje pociechę i usprawiedliwienie w złym: dlatego też w wilię bitwy spał w namiocie tak spokojnie, jak u siebie w alkierzu i szedł w ogień jak do tańca. O nim to dopiero byłbyś pan wykrzyknął: „Cóż to za człowiek!”...

W tym punkcie rozmowy usłyszeli w niejakim oddaleniu za sobą hałas i krzyki; odwrócili głowy i ujrzeli zgraję ludzi uzbrojonych w drągi i widły, którzy zbliżali się pośpiesznym krokiem. Gotowiście myśleć, iż to będą mieszkańcy oberży, służba i opryszki, o których była mowa. Gotowiście myśleć, że rankiem w braku kluczy wywalono drzwi, zaczem bandyci wyobrazili sobie, że dwaj podróżni znikli, unosząc z sobą ich odzież. Tak myślał Kubuś i mruczał między zębami: „Przekłęta niech będą klucze i urojenie czy racja, która mi je kazała zabierać! Przekłęta przezorność!” etc¹⁴., etc. Gotowiście myśleć, iż mały hufczyk wpadnie na Kubusia i jego pana, że wywiąże się krwawa bitwa, razy i wystrzały; jakoż zależałoby tylko ode mnie, aby to wszystko w istocie miało miejsce; ale wówczas bywaj,

¹³ *zali* (daw.) – czyż. [przypis edytorski]

¹⁴ *etc.* (łac. *et caetera*) – skrót od: i tak dalej (a.: i inne). [przypis edytorski]

zdrowa prawdo, bywajcie, zdrowe amory Kubusia. Faktem jest, iż podróżnych nikt nie ścigał i że nie wiem, co zaszło w gospodzie po ich wyjeździe. Jechali dalej swoją drogą, ciągle nie wiedząc, dokąd jadą, mimo iż wiedzieli mniej więcej, dokąd by chcieli jechać; jechali, oszukując nudę i zmęczenie milczeniem i gawędą, jak to jest zwyczajem ludzi odbywających podróże, a niekiedy także i siedzących na miejscu.

Jest bardzo oczywistym, że nie piszę tutaj powieści, skoro gardzę wszystkim, czym powieściopisarz nie omieszkałby się posłużyć. Ten, kto by wziął to, co piszę, za prawdę, byłby może w mniejszym błędzie niż ktoś, kto by to wziął za bajkę.

Tym razem pan przemówił pierwszy, przy czym rozpoczął od zwyczajnej przyśpiewki: „No i cóż, Kubusiu, historia twoich amarów?”.

KUBUŚ: Nie wiem, na czym stanąłem. Tak często musiałem przerywać, iż na jedno by wyszło zacząć od początku.

PAN: Nie, nie. Ocknąwszy się z omdlenia na progu chaty, znalazłeś się w łóżku, otoczony przez jej mieszkańców.

KUBUŚ: Doskonale! Otóż najpilniejszą rzeczą było sprowadzić chirurga, nie było zaś takowego na milę wokoło. Pocziwiec kazał wsiąść na koń jednemu z synów i wysłał go do najbliższego miasteczka. Tymczasem dobra kobieta zagrzała garnek cienkiego wina, podarła starą koszulę i oto wnet obmyto, obłożono i zawinięto w płótno moje biedne kolano. Paroma kawałkami cukru niedojedzonego przez muchy osłodzili zacni ludzie resztkę wina, które służyło do opatrunku, i dali mi się

napić: po czym zachęcili mnie, abym miał cierpliwość. Było późno; mieszkańcy chaty zasiedli do stołu, aby wieczerzać. Wieczerza się skończyła: chłopca i chirurga ani śladu. Ojciec zaczął się złościć. Był to człowiek z natury zgryźliwy; gderał wciąż na żonę i nic mu nie było do smaku. Przepędził surowo dzieci spać. Żona usiadła na ławce i wzięła kądziel. On chodził tam i z powrotem, szukając raz po razu zwady ze swą połowicą. „Gdybyś była poszła do młyna jak ci mówiłem...” mrucał i kończył zdanie wymownym potrząśnięciem głowy w moją stronę.

– Pójdę jutro.

– Właśnie dziś trzeba było iść, jak mówiłem... A cóż z resztkami słomy, które są w stodole? Na cóż czekasz, aby je zebrać?

– Zbierze się jutro.

– Tylko patrzeć, jak braknie; byłoby lepiej, gdybyś zebrała dziś, jak ci mówiłem... A kupa jęczmienia, która pleśnieje na strychu; założyłbym się, nie pomyślałaś o tym, aby ją przetrząsnąć.

– Chłopcy to już zrobili.

– Trzeba było zrobić samej. Gdybyś siedziała na strychu, nie byłabyś wystawała w drzwiach...

Tymczasem zjawił się chirurg, potem drugi, potem trzeci wraz z synkiem gospodarza.

PAN: Otoś bogaty w chirurgów jak święty Roch w

kapelusze¹⁵.

KUBUŚ: Pierwszego nie było w domu, gdy chłopaczek przybył go szukać; żona jego dała znać drugiemu, trzeci zaś pospieszył wraz z chłopcem. „Dobry wieczór panom kolegom; i wyście tutaj?” – rzekł pierwszy... Śpieszyli się, ile mogli, zgrzali się, pić im się chciało. Zasiedli dokoła stołu, z którego nie zdjęto jeszcze obrusa. Kobieta schodzi do piwnicy i wraca z butelką. Mąż mruczy między zębami: „Diabli ją wynieśli na ten próg przekłety!”. Popijają, rozmowa toczy się o chorobach w okolicy; zaczynają wyliczać pacjentów. Skarżę się na ból, powiadają: „W tej chwili jesteśmy do usług”. Po tej buteleczce zażądali drugiej na rachunek kuracji; potem trzeciej, czwartej, ciągle na rachunek kuracji; za każdą zaś butelką, mąż ponawia swój wykrzyknik: „Diabli ją wynieśli na ten próg przekłety!”.

Czegóż by nie wydobył kto inny z owych trzech chirurgów, z ich rozmowy przy czwartej butelce, z obfitości ich cudownych kuracji, z niecierpliwości Kubusia, złego humoru gospodarza, z rozpraw naszych wioskowych eskulapów dokoła uszkodzonego kolana, z rozbieżności ich zdań: jeden utrzymywałby uparcie, że pacjent jest stracony, jeśli mu się co rychlej nie odejmie nogi; drugi zaś, iż trzeba wyjąć kulę i część ubrania, jaka się z nią dostała do kolana i darować nieborakowi jego odnoże. Wśród tego można by pokazać Kubusia, jak siedzi na łóżku, patrząc

¹⁵ *bogaty (...)* jak święty Roch w kapelusze – św. Roch wedle legendy miał trzy kapelusze. [przypis tłumacza]

litościwie na swą nogę i przesyłając jej ostatnie pożegnania. Trzeci chirurg baraszkowałby sobie, póki by się nie wszczęła kłótnia, w której od słów przeszliby do gestów.

Daruję wam te wszystkie szczegóły, których pełno znajdziecie w powieściach, w dawnej komedii i w życiu. Skoro usłyszałem gospodarza, jak wykrzyknął po raz dziesiąty: „Diabli ją wynieśli na ten próg przekłety!”, przypomniałem sobie Molierowskiego Harpagona¹⁶, gdy powiada o synu: *Po kiegóż diabła łaził na ten statek?* I pojąłem, że nie tylko chodzi o to, aby być prawdziwym, ale że trzeba też być zabawnym; i to jest przyczyna, dla której po wiek wieków powtarzać będą: *Po kiegóż diabła łaził na ten statek?*, odezwanie zaś mego wieśniaka: *Diabli ją wynieśli na ten próg przekłety!* – nie przejdzie nigdy w przysłowie.

Kubuś nie zachował wobec pana względów, jakich ja przestrzegam wobec ciebie, czytelniku: nie opuścił najmniejszego szczegółu, narażając go zgoła na niebezpieczeństwo powtórnego zaśnięcia. Skończyło się na tym, iż jeżeli nie najzręczniejszy, to w każdym razie najsilniejszy z chirurgów utrzymał się przy pacjencie.

Czy może (powiecie) masz zamiar rozkładać w naszych oczach lancety, wrzynać je w ciało, wypuszczać krew i kazać nam oglądać operację? Czy może, pańskim zdaniem, byłoby to dziełem arcy-dobrego smaku?... Dobrze więc, daruję wam

¹⁶ *Harpagon* (...) powiada (...) *Po kiegóż diabła łaził na ten statek?* – omyłka ze strony Diderota. Nie Harpagon, ale Geront w *Szelmowskich sztuczkach Skapena* (Akt II, scena II). [przypis tłumacza]

ostatecznie operację; ale pozwólcie przynajmniej Kubusiowi powiedzieć swemu panu: „Ach, panie, to są straszliwe rzeczy naprawianie strzaskanego kolana!”... Panu zaś odpowiedzieć jak wprzód: „Ech, Kubusiu, żartujesz chyba”... Czego zaś za wszystkie skarby świata nie zgodziłbym się zataić, to tego, iż zaledwie pan Kubusia rzucił tę niedbałą odpowiedź, nagle własny jego koń potyka się i pada, kolano pana wchodzi w bliską styczność ze spiczastym kamieniem, jego zaś właściciel krzyczy wniebogłosy: „Jezus Maria! moje kolano!”...

Kubuś, najlepszy w świecie chłopak, jakiego sobie można wyobrazić, tkliwie przywiązany był do pana; mimo to chciałbym wiedzieć, co się działo w głębi jego duszy (jeżeli nie w pierwszej chwili, to przynajmniej skoro się upewnił dostatecznie, iż upadek ten nie będzie miał przykrych następstw) i czy mógł sobie odmówić lekkiego drgnienia tajemnej radości z powodu przygody, która miała pouczyć tegoż pana, jak smakuje zranienie w kolano. Druga rzecz, czytelniku, co do której rad bym, abyś mnie objaśnił, to, czy jego pan nie byłby wolał zranić się, bodaj nieco ciężiej, gdzie indziej niż w kolano, i czy nie bardziej dopiekało mu zawstydenie od bólu.

Skoro pan ocknął się nieco z upadku i przerażenia, wdrapał się na siodło i dał parę ostróg koniowi, który pomknął jak błyskawica; toż samo uczyniła kobyła Kubusiowa, pomiędzy bowiem dwojgiem bydlatek panowała ta sama poufałość, co między ich panami: były to dwie pary przyjaciół.

Gdy wreszcie konie, zdyszane, wróciły do zwyczajnego kroku,

Kubuś rzekł: „No i cóż, co pan o tym sądzi?”.

PAN: O czym?

KUBUŚ: O ranie w kolano.

PAN: Jestem twego zdania; to jedna z najokrutniejszych.

KUBUŚ: W pańskie kolano?

PAN: Nie, nie, w twoje, w moje, we wszystkie kolana w świecie.

KUBUŚ: Panie, panie, nie zastanowił się pan dobrze; wierz mi pan, żałujemy zawsze jeno siebie.

PAN: Cóż za szaleństwo!

KUBUŚ: Ach, gdybym umiał mówić tak, jak umiem myśleć!
– Ale było napisane w górze, iż będę miał różne rzeczy w głowie, a nie będę umiał znaleźć wyrazów.

Tutaj Kubuś zapuścił się w metafizykę bardzo subtelną i może bardzo prawdziwą. Starał się wytłumaczyć panu, iż słowo *ból* jest samo w sobie bez treści i zaczyna coś znaczyć dopiero wówczas, gdy przywodzi na pamięć wrażenie, któregośmy sami doznali. Pan zapytał, czy zdarzyło mu się kiedy rodzić.

– Nie – odparł Kubuś.

– A czy myślisz, że to wielki ból?

– Oczywiście!

– Litujesz się nad kobietą w boleściach rodzenia?

– Bardzo.

– Zdarza ci się tedy litować nad kim innym niż sobą.

– Litość budzi we mnie istota, która załamuje ręce, wyrwa

sobie włosy, wydaje krzyki, ponieważ wiem z doświadczenia, iż nie czyni się tego bez bólu; ale co się tyczy cierpień właściwych kobiecie rodzącej nie lituję się ich: nie wiem, co to jest, Bogu dzięki! Ale, aby wrócić do niedoli, którą znamy obaj, do historii mego kolana, które stało się pańskim wskutek pańskiego upadku...

PAN: Nie, Kubusiu, do historii twojej miłości, która stała się moją wskutek moich minionych utrapień...

KUBUŚ: Oto więc leżę w łóżku, czując po opatrunku odrobinę ulgi; chirurg odjechał, gospodarstwo ułożyli się do spoczynku. Izba ich oddzielona była od mojej jeno rzadkim przepierzeniem z desek oklejonych szarym papierem z kolorowymi obrazkami. Leżałem, nie mogąc usnąć; wśród tego słyszałem głos żony mówiącej do męża: „Daj mi pokój, nie mam ochoty do figlów. Biedny nieszczęśnik, który omal nie skonał pod naszym progiem!”...

– Kobieto, opowiesz mi to później.

– Nie, nie chcę. Jeśli mnie nie zostawisz, wstaję z łóżka. Chcesz, abym miała głowę do tego, po takim zmartwieniu!

– Jeśli się będziesz tak drożyć, możesz się załapać.

– To nie dlatego, żeby się drożyć, ale naprawdę ty bywasz niekiedy tak uparty!... tak uparty!... bo to... bo to...

Po dosyć krótkiej pauzie mąż podjął rozmowę i rzekł:

– No, kobieto, przyznajże teraz, iż niewczesnym współczuciem wpakowałeś nas w kłopot, z którego diabli wiedzą, jak się wyplatać. Rok jest licheski; zaledwie będziemy

mogli nastarczyć potrzebom naszym i dzieci. Zboże wprost na wagę złota! Wina na lekarstwo! Gdyby jeszcze znaleźć jakąś pracę; ale bogaci się kurczą, biedacy nie mają zarobku; na jeden dzień zatrudniony, cztery traci się darmo. Nikt nie płaci tego, co winien; wierzyciele ścigają z nieubłaganą zajadłością; i ty właśnie wybierasz tę chwilę, aby ściągnąć tu jakiegoś przybłędę, obcego człowieka, który będzie siedział nam na karku, póki się spodoba Bogu i chirurgowi niekwapiącemu się go uleczyć; wiadomo bowiem, iż każdy chirurg stara się przeciągać chorobę, ile tylko może; przybłędę, powiadam, który nie śmierdzi ani szelągami i który w dwój- i w trójnasób pomnoży nam wydatki. Kobieto, kobieto, jakże ty się pozbędziesz teraz tego człeka? Mówże co, żono, dajże jakąś rację.

– Czyż z tobą można mówić?

– Powiadasz, że jestem wściekły, że gderam; ciekawym, kto by nie był wściekły? kto by nie gderał? Było jeszcze w piwnicy trochę wina: zobaczysz, czy długo się uchowa! Panowie chirurdzy wypili wczoraj przez wieczór więcej niż my i dzieci przez cały tydzień. A chirurg też nie będzie przychodził darmo, możesz sobie wyobrazić: któż go zapłaci?

– Tak, bardzo rozumnie mówisz i dlatego że taka bieda, czynisz co możesz, aby postarać się o nowe dziecko, jak gdyby ich nie było dość.

– Ale nie!

– Ale tak; jestem pewna, że zastąpię.

– Za każdym razem to powtarzasz.

– I nigdy nie chybiło, zwłaszcza kiedy ucho mnie swędziało, a czuję swędzenie jak nigdy.

– Et, ucho...

– Nie dotykaj! zostaw moje ucho! zostawże, człowieku, czyś oszalał? pożałujesz!

– Aha! toć poszczę już od wili św. Jana.

– Póty będziesz wojował, aż... a potem za miesiąc będziesz się wykrzywił, jakby to było z mojej winy.

– Nie, nie.

– A za dziewięć miesięcy jeszcze gorzej.

– Nie, nie.

– Zatem sam chcesz?

– Tak, tak.

– Będziesz pamiętał? nie powiesz jak za każdym razem?

– Tak, tak...

I oto pomału z *nie, nie* do *tak, tak* ów człowiek wściekły na żonę, iż dała się zmiękczyć uczuciu ludzkości...

PAN: Właśnie sobie czyniłem tę uwagę.

KUBUŚ: To pewna, iż ów mąż nie był zbyt konsekwentny; ale był młody, a żona ładna. Nigdy nie robi się tyle dzieci co w czasach nędzy.

PAN: Nic się tak nie mnoży jak biedacy.

KUBUŚ: Jedno dziecko więcej, to nic dla takich ludzi; miłosierdzie boskie je wyżywi. A potem, to jedyna przyjemność, która nic nie kosztuje; człowiek pociesza się tanim kosztem w nocy po utrapieniach dnia... Z tym wszystkim uwagi gospodarza

nie były bez słuszności. Podczas gdy sam to sobie mówiłem, uczułem gwałtowny ból w kolanie i wykrzyknąłem: „Au! kolano!”. A mąż na to: „Och! żono!”... A żona: „Och! mężu! ależ... ależ... ten człowiek tam jest!”.

– No więc cóż ten człowiek?

– Może słyszał.

– A niechby słyszał.

– Nie będę mu śmiała jutro w oczy spojrzeć.

– A to czemu? Czy nie jesteś moją żoną, czy nie jestem twoim mężem? Czy mąż ma żonę, a żona męża na darmo?

– Och, och!

– Cóż takiego?

– Ucho!...

– Cóż, ucho?

– Gorzej niż kiedy.

– Śpij, to przejdzie.

– Nie potrafię. Och, ucho! ucho!

– Ucho, ucho, łatwo to mówić...

Nie umiem wam powiedzieć, co zaszło; ale kobieta powtórzywszy kilka razy *ucho, ucho* głosem cichym i przyspieszonym, zaczęła wreszcie bełkotać przerywanymi głoskami *u... cho... u... c h o...*, a potem w następstwie tego *u... cha...* sam nie wiem, co jeszcze; wszystko razem w połączeniu z milczeniem, jakie zaległo potem, pozwoliło wnosić, iż swędzenie ucha uśmierzyło się w ten lub ów sposób, mniejsza o to, jak: co mi zrobiło szczerą przyjemność. No, a dopiero jej!

PAN: Kubusiu, połóż rękę na sumieniu i przysięgnij, że nie w tej kobiecie się zakochałeś.

KUBUŚ: Przysięgam.

PAN: Tym gorzej dla ciebie.

KUBUŚ: Gorzej lub lepiej. Myśli pan zapewne, iż kobiety, które są takiej przyrody co ona, chętnie użyczają ucha?

PAN: Myślę, iż tak jest napisane w górze.

KUBUŚ: Ja myślę, iż w dalszym ciągu napisane jest, że nie długo słuchają jednego i tego samego osobnika i bywają co nieco skłonne użyczać ucha postronnym.

PAN: Możebne.

I oto zapuścili się w nieskończoną sprzeczkę o kobietach. Jeden twierdził, iż są dobre, drugi, że złe: i obaj mieli słuszność; jeden, że głupie, drugi, że pełne sprytu: i obaj mieli słuszność; jeden, że fałszywe, drugi, że szczerze: i obaj mieli słuszność; jeden, że skąpe, drugi, że rozrzutne: i obaj mieli słuszność; jeden, że ładne, drugi, że szpetne: i obaj mieli słuszność; jeden, że gadatliwe, drugi, że skryte; jeden, że szczerze, drugi, że obłudne; jeden, że ciemne, drugi, że oświecone; jeden, że stateczne, drugi, że wyuzdane; jeden, że postrzelone, drugi, że roztropne; jeden, że duże, drugi, że małe: i obaj mieli słuszność.

Wśród tej dysputy, podczas której mogli byli objechać dookoła ziemię nie przerywając ani na chwilę i nie doszedłszy do porozumienia, zaskoczyła ich burza, która zmusiła ich skierować się... – Gdzie? – Gdzie? Czytelniku, ciekawość twoja zaczyna być bardzo niewygodna! Cóż ci u diaska na tym zależy? Kiedy

powiem, że do Pacanowa, do Mościsk lub do Ryczywołu, czy dużo cię to posunie naprzód? Jeżeli będziesz nalegał, powiem, iż skierowali się do... owszem, dlaczego nie?... do ogromnego zamku, nad którego bramą znajdował się ten napis: „Należę do nikogo i do wszystkich. Byliście tu, nimeście weszli, i będziecie jeszcze, skoro wyjdziecie”. – Czy weszli do tego zamku? – Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli już w zamku zanim doń weszli. – Ale przynajmniej wyszli stamtąd? – Nie, bowiem albo napis był fałszywy, albo byli tam jeszcze, skoro zeń wyszli. – I cóż tam robili? – Kubuś powiadał, iż to, co było napisane w górze; pan, iż to, co chciał: i obaj mieli słuszność. Jakie towarzystwo zastali? – Mieszane. – Co mówiono? – Nieco prawdy i wiele kłamstw. – Czy byli tam ludzie dorzeczni? – Gdzież ich nie ma? A także i przekłeci zadawacze pytań, których unika się jak zarazy. A co najwięcej raziło Kubusia i pana przez cały czas, gdy się przechadzali... – Więc się przechadzali? – Bez ustanku, o ile tylko nie siedzieli lub nie leżeli... Najwięcej raziło ich to, iż zastali z jakich dwudziestu śmiałków, którzy zagarnęli sobie najwspanialsze apartamenty, gdzie po największej części było im jeszcze ciasno. Zuchwalcy ci utrzymywali wbrew powszechnemu prawu i istotnemu znaczeniu napisu, iż zamek przekazano im na pełną własność; i przy pomocy garści płatnych hultai wparli to przekonanie w znaczną liczbę również płatnych przez siebie hultai gotowych za drobną sztukę monety powiesić lub zamordować pierwszego, który by się ośmielił sprzeciwić: wszelako za czasu Kubusia i jego pana

bywały wypadki takiej śmiałości. – Czy uchodzili bezkarnie? – To względne.

Powiecie mi, iż czynię sobie zabawkę i że, nie wiedząc, co począć z mymi podróżnymi, rzucam się w alegorię, pospolity ratunek jałowych umysłów. Daruję wam moją alegorię i wszystkie bogactwa, jakie mógłbym z niej wydobyć; przyznam, co wam się spodoba, ale pod warunkiem, iż nie będziecie mnie nękać w kwestii ostatniego noclegu Kubusia i jego pana; czy to dobili do jakiegoś miasta i nocowali u dziewcząt; czy że spędzili noc u starego przyjaciela, który podjął ich, jak mógł najlepiej; czy że szukali schronienia u mnichów zakonu żebrzącego, gdzie dla miłości Bożej dano im zły nocleg i lichą strawę; czy znaleźli gościnę w domu możnego pana, gdzie im brakło wszystkiego, co potrzebne, pośród obfitości wszystkiego, co zbyteczne; lub też opuścili rankiem wielce pańską gospodę, gdzie im kazano zapłacić bardzo drogo za lichą wieczerzę podaną na srebrnych półmiskach i noc spędzoną pod kotarami z adamaszku w wilgotnych i nieświeżych prześcieradłach; lub że przyjęli gościnność wiejskiego wikarego, który pospieszył na wieś obłożyć dziesięciną kurniki parafian, aby zdobyć dla gości omlet i potrawkę z kurczęcia; albo też podpili sobie przednim winkiem, podjedli suto i zyskali dobrze zapracowaną niestrawność w bogatym opactwie bernardynów; mimo bowiem, że to wszystko zdaje się jednako możliwe, Kubuś nie był tego zdania; istotnie możliwą z tych możliwości była tylko ta, która była zapisana w górze. Co natomiast jest prawdą, to iż z jakiego bądź miejsca

podoba się wam, aby wyruszyli w drogę, nie ujechali jeszcze dwudziestu kroków, kiedy pan rzekł do Kubusia, zaczerpnąwszy poprzednio wedle zwyczaju spory niuch w tabakierce: „No i cóż, Kubusiu, historia twoich amorów?”. Zamiast odpowiedzieć, Kubuś wykrzyknął: „Do diabła z historiami moich amorów! A toć ja, dalibóg, zostawiłem”...

PAN: Cóżże zostawił?

Zamiast odpowiedzieć Kubuś wywracał wszystkie kieszenie i przeszukiwał nadaremnie. Zostawił pod poduszką mieszek podróżny z pieniędzmi, ale ledwie zdążył uczynić panu to przykre zwierzenie, ów zakrzyknął: „Do diabła z historiami twoich amorów! Toć mój zegarek został na kominku!”.

Kubuś nie dał się prosić; natychmiast zatoczył koniem i poczłapał z powrotem powolnym truchtem, nigdy bowiem nie było mu spieszno... – Do ogromnego zamku? – Nie, nie. Spośród rozmaitych możliwych noclegów wybierzcie ten, który najlepiej odpowiada okolicznościom.

Tymczasem pan jechał ciągle naprzód: oto więc pan i sługa rozdzielili się i nie wiem, któremu z nich towarzyszyć. Jeśli chcecie udać się za Kubusiem, miejcie się na baczności: poszukiwanie sakiewki i zegarka może być tak długie i zawikłane, iż nieprędko uda się słudze połączyć ze swym panem, jedynym powiernikiem jego amorów, a wtedy bywajcie zdrowe, amory Kubusia. Jeśli wysławszy go samego na poszukiwanie zegarka i sakiewki, zechcecie dotrzymać kompanii panu, będzie to z waszej strony wielka uprzejmość, ale przyplacie ją

potężną nudą: nie znacie jeszcze ludzi tego gatunku. Myśli w głowie ma jak na lekarstwo: jeśli mu się zdarzy powiedzieć coś do rzeczy, to chyba coś zasłyszanego albo też przypadkiem. Ma oczy jak wy i ja: ale przeważnie nie wiadomo, czy patrzy. Nie śpi, a także nie czuwa: pozwala spływać życiu: to jego zwykłe zatrudnienie. Automat ów wędrował przed siebie, oglądając się od czasu do czasu, aby sprawdzić, czy Kubuś nie wraca; schodził z konia i szedł piechotą; wsiadał z powrotem, jechał ćwierć mili, znów zląził i siadał na ziemi, okręciwszy uzdę dokoła garści i wsparłszy głowę na rękach. Kiedy znużył się tą postawą, wstawał i patrzył z daleka, czy nie widać Kubusia. Ani śladu! Wówczas niecierpliwił się, raz po raz mruczał bez myśli: „Hycel! pies! łajdak! gdzie on siedzi? co on robi? Czy potrzeba tyle czasu, aby odnaleźć sakiewkę i zegarek? Kości mu pogruchocę! to go nie minie; och, kości pogruchocę!”. Następnie szukał zegarka w kieszonce, gdzie go nie było, i popadał stopniowo w ostateczną rozpacz, nie wiedział bowiem, co począć bez zegarka, tabakierki i Kubusia; były to trzy wielkie pociechy jego życia, które spływało na zażywaniu tabaki, spoglądaniu na godzinę i zadawaniu pytań Kubusiewi: a to we wszystkich możliwych kombinacjach. Pozbawiony zegarka, musiał się tedy ograniczyć do samej tabakierki, którą otwierał i zamykał co minuta, ot, jak i ja czynię, kiedy się nudzę. Wieczorna pozostałość tabaki w mojej tabakierce stoi w stosunku prostym do zabawy lub odwrotnym do nudy w ciągu dnia. Błagam cię, czytelniku, abyś się oswoił z tym sposobem mówienia zapożyczonym z geometrii,

podoba mi się bowiem jego ścisłość i będę się nim nieraz posługiwał.

No i cóż? masz już dosyć pana; a że sługi coś długo nie widać, czy chcesz, abyśmy podążyli ku niemu? Biedny Kubuś! W chwili, gdy o nim mówimy, wykrzyknął boleśnie: „Było tedy napisane w górze, iż jednego i tego samego dnia przytrzymają mnie jako złodzieja i bandytę, zaprowadzą do więzienia i w dodatku obwiniają o uwiedzenie dziewczyny!”.

Gdy wolnym truchcikiem zbliżał się do zamku... nie... do miejsca ostatniego noclegu, minął go jeden z owych wędrownych kramarzy kupczących wszelkim towarem i krzyknął: „Panie szlachcicu, mam podwiązki, paski, łańcuszki do zegarków, tabakierki najnowszej mody, dewizki, pierścionki, pieczętki. Oto zegarek: złoty, cyzelowany, z podwójną kopertą, jak nowy”... Kubuś odparł: „Szukam właśnie zegarka, ale to nie ten”... i dalej człapał drogą, ciągle wolnym truchcikiem. Gdy tak jechał, nagle zdało mu się, iż widzi napisane w górze, że zegarek ofiarowany przez tego człowieka jest tożsamym z zegarkiem jego pana. Nawraca tedy i rzece: „Pokaż no, przyjacielu, ów zegarek w złotej oprawie, mam jakieś przeczucie, że mi się nada”.

– Na honor – odparł przekupień – nie dziwiłbym się: piękna, bardzo piękna sztuka, prawdziwy Julian Le Roi¹⁷. Ledwo parę chwil, jak go mam w posiadaniu; nabyłem go ot, za bezcen, ustąpię też niedrogo. Lubię zysk mały a częsty; ale teraz lichej czas na interesa: mogę ze trzy miesiące czekać na podobną

¹⁷ *Julian Le Roi* – słynny zegarmistrz współczesny. [przypis tłumacza]

gratkę. Wyglądasz na poczcivego człowieka; wolę, abyś pan skorzystał niż kto inny...

Tak gwarząc, przekupień ułożył kramik na ziemi, otworzył go i wydobył zegarek, który Kubuś poznał natychmiast i bez zdziwienia; o ile bowiem nigdy się nie śpieszył, o tyle dziwił się rzadko. Obejrzał dobrze zegarek: „Tak, powiedział sobie w duchu, to ten”... Do przekupnia zaś: „Masz pan słuszność, ładny, bardzo ładny i wiem, że chodzi doskonale”... Następnie wpuszczając go do kieszonki, rzekł: „Przyjacielu, ślicznie dziękuję!”.

– Jak to, ślicznie dziękuję?

– Tak, to zegarek mego pana.

– Nie znam żadnego pana, zegarek jest mój, kupiłem go i zapłaciłem w gotowiźnie...

I chwytając Kubusia za kołnierz, zaczął się z nim szamotać. Kubuś rzuca się do konia, chwyta pistolet z olstrów i przykładając do piersi kramarza, woła: „Umykaj albo zginiesz”. Kramarz przerażony porzuca zdobycz. Kubuś siada z powrotem na konia i rusza truchcikiem ku miastu, mówiąc w duchu: „Otóż byłby zegarek, pomyślmy teraz o sakiewce”... Kramarz zamyka w pośpiechu walizkę, bierze ją z powrotem na plecy i śpieszy za Kubusiem, wołając: „Złodziej! złodziej, morderca! na pomoc! do mnie! do mnie!”.. Było to w porze zbiorów: w polu było pełno pracowników. Wszyscy porzucają sierpy, gromadzą się koło przekupnia i pytają, gdzie złodziej, gdzie morderca.

– O ten, oto jedzie.

– Jak to! ten tam, który wędruje truchtem ku bramom miasta?

– Ten sam.

– Idźcież człowieku, źle macie w głowie, toć złodziej nie jedzie takim krokiem.

– Złodziej, powiadam wam, złodziej: wydarł mi przemocą złoty zegarek...

Ludzie nie wiedzieli, komu wierzyć, krzykom przekupnia czy spokojnemu truchtowi Kubusia. „Słuchajcie, dobrzy ludzie – krzyczał ciągle kramarz – zarżnięty jestem, jeśli mi nie pomożecie; wart był trzydzieści ludwików jak grosz. Ratujcie mnie, toć on uwozi moje mienie: jeśli mu przyjdzie ochota puścić się galopa, mogę się pożegnać z zegarkiem”...

Kubuś, o ile nie był w możności słyszenia krzyków, mógł łatwo widzieć zbiegowisko: wszelako nie przyspieszył kroku. Wreszcie nadzieją nagrody udało się kramarzowi zachęcić chłopków do pogoni. I oto gromada mężczyzn, kobiet i dzieci puszcza się za Kubusiem i krzyczy: „Złodziej! złodziej! morderca!”, kramarz zaś kuśtyka za nimi tak chyżo, jak tylko pozwala mu jego tobołek i krzyczy: „Złodziej! złodziej! morderca!”

Wkroczyli tak do miasta, w owym to bowiem mieście Kubuś i jego pan spędzili ostatni nocleg; przypominam sobie w tej chwili. Mieszkańcy wylegają z domów, przyłączają się do chłopków i kramarza i krzyczą w zgodnym chórze: „Złodziej! złodziej! morderca!”... Wszyscy dopadli Kubusia niemal równocześnie. Skoro kramarz rzucił się na niego, Kubuś wymierzył mu

kułakiem cios, który go obalił na ziemię, ale jeszcze w tej pozycji krzyczał nieustannie: „Łotrze, łajdaku, zbrodniarzu, oddaj zegarek; oddasz, obwiesiu, a mimo to będziesz dyndał”... Kubaś, zachowując zimną krew, zwrócił się do tłumu, który wzrastał z każdą chwilą i rzekł: „Musi tu być komisarz policji, proszę zaprowadzić mnie do niego: tam postaram się udowodnić, że nie jestem łajdakiem, natomiast ten człowiek może się nim łatwo okazać. Wziąłem mu zegarek, to prawda; ale zegarek jest własnością mego pana. Nie jestem zupełnie obcy w tym mieście: przedwczoraj wieczór przybyliśmy tu z panem i zatrzymaliśmy się u pana naczelnika sądu, jego dawnego przyjaciela”. Jeśli wam nie mówiłem poprzednio, że Kubaś i jego pan przejeżdżali przez Conches i stanęli gospodą u naczelnika tamecznego sądu, to dlatego iż nie nadarzyła się sposobność. „Proszę mnie zaprowadzić do pana naczelnika”, powtarzał Kubaś i równocześnie zsiadł z konia. W samym środku orszaku paradowali Kubaś, jego koń i przekupień. Przybywają do domu naczelnika. Kubaś, koń i kramarz wchodzą do środka, przy czym Kubaś i kramarz trzymają się wzajem za dziurki u surduta. Tłum został na zewnątrz.

Cóż począł tymczasem pan Kubusia? Zdrzemnął się na kraju gościńca z uzdą okręconą koło garści, przy czym zwierzę skubało trawę wpodłe śpiącego, o ile pozwalała na to długość uzdy.

Skoro tylko pan naczelnik ujrzał Kubusia, wykrzyknął: „Ej, tyżeś to, dobry Kubusiu! Cóż cię sprowadza samego z

powrotem?”.

– Zegarek mego pana: wyjeżdżając, zostawił go na kominku, ja zaś znalazłem go w walizce tego człowieka; dalej sakiewka zapomniana w wezgłowiach łóżka, która też się odnajdzie, jeżeli pan rozkaże.

– I jeżeli tak jest zapisane w górze... – dodał dygnitarz.

Natychmiast kazał zwołać swoich ludzi; kramarz zaś, wskazując wysokiego draba o dość podejrzanej minie, niedawno przyjętego do domu, rzekł: „Oto ten człowiek sprzedał mi zegarek”.

Urzędnik, przybierając groźne oblicze, rzekł do kramarza i do służącego: „Zasługiwalibyście obaj na galery; ty, iż sprzedałeś zegarek, ty, że kupiłeś”... Do lokaja: „Oddaj temu człowiekowi pieniądze i ściągaj natychmiast liberię”... Do kramarza: „Czym prędzej wynoś się z okolicy, jeśli nie chcesz, aby cię w niej przygwożdżono na zawsze. Obaj bawicie się rzemiosłem, które nie wyjdzie wam na dobre”... Teraz, Kubusiu, zajmijmy się sakiewką. Osoba, która ją sobie przywłaszczyła, stawiała się bez zawezwania; była to pięknie wyrosnięta dziewczyna, zbudowana na schwał. „To ja, panie, mam tę sakiewkę – rzekła do pryncypała – ale nie ukradłam; dał mi ją sam”.

– Ja ci dałem sakiewkę?

– Tak.

– Możliwe, ale niech mnie diabli porwą, jeżeli sobie przypominam...

Urzędnik rzekł do Kubusia: „No, no, Kubusiu, nie

wyjaśniamy dalej”.

– Panie...

– Wedle tego, co widzę, jest ładna i niedzika.

– Panie, przysięgam...

– Ileż było w sakiewce?

– Około dziewięciuset siedemnastu funtów.

– Och, Joasiu, dziewięćset siedemnaście funtów za jedną noc to o wiele za dużo jak na was oboje. Daj mi tę sakiewkę...

Dziewucha podała sakiewkę panu, który dobył podwójnego talara: „Masz – rzekł – oto zapłata za twoje usługi; warta jesteś więcej, ale dla kogo innego niż Kubuś. Życzę ci dwa razy tyle każdego dnia, ale nie w moim domu: rozumiesz? A ty, Kubusiu, siadaj co żywo na koń i wracaj do pana”.

Kubuś skłonił się urzędnikowi i oddalił bez odpowiedzi, ale mówił sobie w duchu: „A, szelma! a, łajdaczka! było tedy napisane w górze, że kto inny się z nią prześpi, a Kubuś zapłaci!... Ech, pociesz się, Kubusiu, czy nie dosyć szczęścia, że odnalazłeś swoją sakiewkę i pański zegarek, i że cię to kosztowało tak niewiele?”.

Kubuś wsiada na konia i rozpięra ciżbę, jaka się uczyniła pod domem; ale ponieważ ciężko mu było przenieść, iżby tylu ludzi miało go brać za hultaja, powoli i rozmyślnie wydobyl z kieszeni zegarek i popatrzył na godzinę; następnie dał ostrogę koniowi, który, nie będąc do tego przyzwyczajony, pognął z kopyta. Zwyczajem Kubusia było pozwalać mu iść krokiem, jaki sam koń uznał za właściwy: równie bowiem niewczesnym

zdawało mu się zatrzymywać go, kiedy galopował, jak popędzać, kiedy szedł powoli. Zdaje się nam, że prowadzimy los, podczas gdy w istocie on zawsze nas prowadzi: losem zaś mienił Kubuś wszystko, co napotykał na drodze, konia, własnego pana, mnicha, psa, kobietę, muła, wronę. Konik niósł go tedy całym pędem ku panu, który zdrzemnął się był na kraju gościńca z uzdą okręconą koło garści, jak wspomniałem. Wszelako gdy Kubuś zastał pana w tej pozycji, uzda znajdowała się na swoim miejscu, ale konia nie było. Widocznie jakiś hultaj zakradł się ku śpiącemu, obciął uzdę i uprowadził bydłatko. Na tętent Kubusiowego konia pan zbudził się; pierwszym jego słowem było: „Chodź no, chodź, gałganie! ja cię”... Tutaj zaczął poziewać na łokieć szeroko.

– Ziewaj pan, ziewaj do syta – rzekł Kubuś – ale gdzie się podziewa pański koń?

– Mój koń?

– Tak, koń...

Pan, spostrzegłszy w tej chwili, iż skradziono mu konia, gotował się już wpaść na Kubusia zamachując się resztkami uzdy; ale ten rzekł: „Powoli, panie, nie jestem dziś w usposobieniu, żeby się dać grzmocić; uderzy mnie pan raz, ale przysięgam, że za następnym spinam konia i zostawiam pana, jak pan stoi”...

Groźba Kubusia ostudziła natychmiast gniew pana, który rzekł już znacznie łagodniej: „A zegarek?”

– Oto jest.

– A sakiewka?

– Oto jest.

– Długo siedziałeś.

– Niezbyt długo, jak na to, com zdziałał. Posłuchaj pan. Przybyłem na miejsce, wdałem się w bójkę, poruszyłem całą wieś przeciw sobie, wzięto mnie za opryszka i złodzieja, zaprowadzono do sędziego, przeszedłem podwójne śledztwo, omal nie wysłałem dwóch ludzi na szubienicę, przyprawiłem lokaja o wygnanie z domu, pokojówkę o utratę miejsca, przekonano mnie, iż spędziłem noc w łóżku osoby, której nigdy nie widziałem, a której mimo wszystko zapłaciłem za to; i jestem z powrotem.

– A ja, czekając na ciebie...

– Czekając na mnie, było napisane w górze, iż się pan zdrzemnie i że panu ukradną konia. Ha, cóż! nie myślmy o tym dłużej! niewielkie rzeczy, jeden koń stracony, a być może jest napisane w górze, że się odnajdzie.

– Mój koń! mój biedny koń!

– Choćbyś pan lamentował bodaj do jutra rana, nic to nie pomoże ani nie odmieni.

– Cóż teraz poczniemy?

– Wezmę pana z tyłu oklep, albo też, jeżeli pan woli, zdejmujemy buty, przytroczymy je do siodła i będziemy dalej iść piechotą.

– Mój koń, mój biedny koń!

Postanowili raczej wędrować piechotą, przy czym pan

wykrzykiwał od czasu do czasu: „Mój koń! mój biedny koń!”, Kubuś zaś rozwijał obszerniej streszczenie swych przygód. Skoro doszedł do punktu oskarżenia owej dziewczyny, pan rzekł:

– Naprawdę, Kubusiu, nie spałeś z tą dziewczyną?

KUBUŚ: Nie, panie.

PAN: I zapłaciłeś?

KUBUŚ: Tak się widzi.

PAN: Raz w życiu zdarzyło mi się większe nieszczęście niż twoje.

KUBUŚ: Zapłaciłeś pan, przespawszy się poprzednio?

PAN: Tyś rzekł.

KUBUŚ: Nie opowie mi pan tego?

PAN: Nim zapuścimy się w historię moich amorów, trzeba wprzód wybrnąć z twoich. No! Kubusiu, dzieje twojej miłości, którą przyjmuję jako pierwszą i jedyną twego życia, mimo przygody ze służącą w Conches; gdybyś bowiem nawet się z nią przespał, nie znaczy, abyś był zakochany. Codziennie niemal człowiek sypia z kobietami, których nie kocha, a nie sypia z kobietami, które kocha. Ale...

KUBUŚ: Cóż, ale...? Co panu?

PAN: Mój koń!... Kubusiu, serce, nie gniewaj się: postaw się na miejscu mego konia, wyobraź sobie, że ciebie straciłem, i powiedz, czy nie ceniłbyś mnie tym więcej, słysząc jak wykrzykuję: „mój biedny Kubuś!”?

Kubuś uśmiechnął się i rzekł: „Stanęliśmy, o ile pamiętam, w rozmowie gospodarza z żoną, w ową noc po pierwszym

opatrunku. Zasnąłem trochę. Gospodarz i jego małżonka wstali nieco później niż zwykle”.

PAN: Bardzo wierzę.

KUBUŚ: Obudzwszy się, rozsunałem pomału firanki i ujrzałem gospodarza, żonę i chirurga w tajemniczej konferencji na progu. Po tym, co słyszałem w ciągu nocy, nie trudno było domyślić się treści. Chrząknąłem. Chirurg rzekł: „Obudził się; zejździe no, kumie, do piwnicy, golniemy łyczek; to daje dziwną pewność ręki. Zdejmę następnie opatrunek i pogadamy o reszcie”.

Skoro przyniesiono i wypróżniono butelkę, bowiem wedle terminów sztuki *golnąć łyczek* znaczy wypróżnić co najmniej jedną butelkę, chirurg zbliżył się do łóżka i rzekł; „Jakąż mieliśmy noc?”

– Niezłą.

– Proszę rękę... Dobrze, dobrze, puls wcale niezgorszy, gorączki prawie że już nie ma. Trzeba zobaczyć kolano... Dalej, gosposiu – rzekł do gospodyni, która stała w nogach łóżka za firanką – pomóżcie nam... – Gospodyni zawołała na któreś z dzieci. – Nie dziecko nam tutaj potrzebne, ale wy sami; jeden fałszywy ruch przysporzyłby roboty na miesiąc. Zbliźcież się, pani kumo. – Gospodyni zbliżyła się ze spuszczoneymi oczyma. – Weźcież nogę, tę zdrową, ja biore na siebie drugą. Powoli, powoli... Tak, ku mnie, jeszcze troszeczkę ku mnie... Mój przyjacielu, wykręć no troszeczkę na prawo... o tak... jesteśmy w domu...

Trzymałem się oburącz siennika, zgrzytałem zębami, pot ściekał mi po twarzy.

– Mój przyjacielu, to nie zabawa.

– Czuję to.

– Doskonale! Pani kumo, puśćcie nogę, weźcie poduszkę i przysuńcie krzesło i połóżcie poduszkę na nie... Za blisko... trochę dalej... Mój przyjacielu, podaj mi rękę... ściśnij mocno. Pani kumo, obejdźcie no łóżko i chwycie go pod ramię... Wyśmienicie... Mój kumie, nie zostało tam co w butelce?

– Nie.

– Stańcie tu na miejsce żony, a ona niech pójdzie poszukać drugiej... Dobrze, dobrze, lejcie pełno... kobieto, zostawcie męża i chodźcie tu do mnie... – Gospodyni zawołała jeszcze raz któreś z dzieci. – Ech, do stu czartów, już wam powiedziałem, że dziecko na nic się tu nie zda. Klęknijże pani sobie, podłóż rękę, tu, pod łydkę... Ech, kumo, co wy tak drżycie, jakby was nieszczęście miało trafić; no, śmiało... Lewą podłóżyc pod udo, tu, wyżej bandażu... Doskonale... – W mig przeciął nitki, odwinął bandażę, zdjął opatrunek i obnażył ranę. Chirurg obmacuje z góry, z dołu, z boku i ilekroć mnie dotknie powiada – Ignorant! osioł! cymbał! takiemu bawić się w chirurga! Taką nogę ucinać! Będiesz nią chodził nie gorzej niż tamtą, ja ci zaręczam.

– Wyleczę się?

– Nie takich wyleczyłem.

– Będę chodził?

– Będziesz.

– Nie kulejąc?

– To znowuż co innego; u diaska, mój przyjacielu, co ty masz za pretensje! Czy nie dosyć, że ci ocaliłem nogę? A zresztą, choćbyś nawet i kulał, to drobnostka. Czy lubisz tańczyć?

– Bardzo.

– Jeżeli będziesz chodził trochę gorzej, tańczyć za to będzie ci się tym lepiej... Pani kumo, wina ciepłego tutaj... Nie, wprzód tamtego, do gęby: jeszcze jedną szklaneczkę, to opatrunkowi tylko wyjdzie na zdrowie.

Wychylił szklanekę: przyniesiono gorącego wina, obmyto ranę, ukończono opatrunek, ułożono mnie w łóżku, upomniano, abym spał, jeśli zdołam, zasunięto firanki, dokończono nadpoczętej butelki, przyniesiono drugą i rozpoczęła się narada między chirurgiem, gospodarzem i gospodynią.

GOSPODARZ: Słuchajcie, kumie, czy to potrwa długo?

CHIRURG: Bardzo długo... W wasze ręce.

GOSPODARZ: Ile? Miesiąc?

CHIRURG: Miesiąc! Powiedzcie dwa, trzy, cztery, któż może wiedzieć? Rotula nadwerężona, femur, tibia... W wasze, pani kumo.

GOSPODARZ: Cztery miesiące! Jezu miłosierny! Po co go było przyjmować? diabliż ją wynieśli na ten próg przeklęty!

CHIRURG: W moje ręce: napracowałem się tego.

GOSPODYNI: Znowu pan mąż zaczyna swoją śpiewkę. Co innego przyrzekałeś dziś w nocy; ale cierpliwości, przyjdzie koza

do woza.

GOSPODARZ: Ale, powiedz mi, co począć z tym człowiekiem? Gdybyż bodaj rok nie był taki licheski!

GOSPODYNI: Jeżeli chcesz, pójdę do proboszcza.

GOSPODARZ: Jeśli nogą tam stąpisz, kości ci połamię.

CHIRURG: Czemu, kumie? toć moja tam zachodzi.

GOSPODARZ: To wasza sprawa.

CHIRURG: Zdrowie mojej chrześniaczki; jakżeż się ona miewa?

GOSPODARZ: Bardzo dobrze.

CHIRURG: No, kumie, zdrowie naszych żon: dzielne kobiety.

GOSPODARZ: Wasza ma więcej oleju w głowie; nie byłaby tak głupia, aby...

GOSPODYNI: Ależ, panie kumie, może by siostry szarytki...

CHIRURG: Och, pani kumo! mężczyzna, mężczyzna, u sióstr! A przy tym jest pewna mała trudność, troszkę większa niżeli palec... Pijmy na zdrowie sióstr, to dobre dziewczęta...

GOSPODYNI: A jaka trudność?

CHIRURG: Wasz mąż nie chce, abyście szli do proboszcza, a moja żona nie chce, bym chodził do sióstr... Ejże, kumie, jeszcze szklaneczkę, to nam może rozjaśni w głowie. Wzięliście już na spytki tego człowieka? Nie jest może bez środków.

GOSPODARZ: Żołnierz!

CHIRURG: Żołnierz ma ojca, matkę, braci, siostry, krewnych, przyjaciół, kogoś pod słońcem... Napijmyż się

jeszcze ten łyczek, oddalście się i pozwólcie mi działać.

Taka była rozmowa chirurga, gospodarza i gospodyni: ale jakież inne barwy było w mej mocy nadać jej, wprowadzając jakiegoś zbrodniarza między tych poczciwych ludzi? Kubuś ujrzałby się lub wy byście ujrzeli Kubusia wywleczonym z łóżka, porzuconym na gościńcu albo w jakiej rozpadlinie. – Czemuż nie zabitym? – Zabitym nie. Umiałbym w potrzebie przywołać kogoś na pomoc; ten *ktoś* mógłby to być żołnierz z jego kompanii: ale to by cuchnęło *Klewelandem* aż do obrzydliwości. Prawdy! prawdy! – Prawda, powiecie mi, jest często sucha, pospolita i płaska; na przykład ta ostatnia opowieść o opatrunku Kubusia jest prawdziwa, ale co w niej zajmującego? Nic. – Przyznaję. – Jeśli być prawdziwym, to tak jak Moliere, Regnard¹⁸, Richardson¹⁹, Sedaine²⁰; prawda ma swoje strony uderzające, które się chwytają, jeśli się ma talent. – Tak, kiedy się ma talent; ale gdy go ktoś nie ma? – Gdy nie ma, nie powinien pisać. – A gdyby, przypadkiem, podobny był do pewnego poety, którego swego czasu wyprawiłem do Pondichéry? – Cóż to za poeta? – Ów poeta... Ale jeśli będziesz przerywał, czytelniku, i jeśli ja sam będę sobie przerywał co chwilę, co się stanie z miłością Kubusia?

¹⁸ *Regnard* – wybitny komediopisarz epoki pomolierowskiej (1655–1709). [przypis tłumacza]

¹⁹ *Richardson* – głośny współcześnie powieściopisarz angielski (1689–1761). [przypis tłumacza]

²⁰ *Sedaine* – współczesny Diderotowi komediopisarz francuski (1719–1797). [przypis tłumacza]

Wierzaj mi, dajmy pokój poecie... Gospodarz i gospodyni oddalili się... – Nie, nie, historię poety z Pondichéry. – Chirurg zbliżył się do łóżka... – Historię poety z Pondichéry, historię poety z Pondichéry. – Jednego dnia przyszedł do mnie młody poeta, tak jak przychodzi ich codziennie... Ale, czytelniku, co to ma za związek z podróżą Kubusia Fatalisty i jego pana?... – Historię poety z Pondichéry. – Po zwyczajnych oświadczeniach na temat mego talentu, geniuszu, smaku, dobroczynności i innych grzecznościach, którym nie wierzę ani słówka, mimo iż będzie już z dwadzieścia lat, jak mi je powtarzają, może i z dobrą wiarą, młody poeta wyciągnął papier z kieszeni: „To wiersze”, powiada. – Wiersze! – Tak, panie i mam nadzieję, że będziesz pan tak łaskaw wyrazić mi o nich swe zdanie. – Czy pan lubi prawdę? – Tak, panie, i proszę o nią. – Będiesz ją miał. – Jak to? – rzecze czytelnik – jesteś dość ograniczony, aby wierzyć, iż poeta przychodzi szukać u ciebie prawdy? – Tak. – I dość naiwny, aby mu ją powiedzieć? – Z pewnością! – Bez ogródek? – Oczywiście: oględność, choćby najlepiej upozorowana, byłaby jeno grubą obrazą. Ściśle przetłumaczona znaczyłaby: jesteś pan lichym poetą; a ponieważ nie przypisują panu dość rozumu, abyś był zdolny usłyszeć szczerą prawdę, jesteś tym samym i marnym człowiekiem. – I szczerłość taka zawsze ci się powiodła? – Prawie zawsze... Czytam tedy wiersze młodego poety i mówię: „Nie tylko pańskie wiersze są liche, ale jest dla mnie niezbitym pewnikiem, że nigdy nie będziesz pisał dobrych”. – Nie pozostaje mi tedy nic innego, jak pisać

nadal złe, nie mógłbym bowiem przemóc na sobie, aby w ogóle nie pisać. – Oto straszliwe przekleństwo! Czy zdajesz pan sobie sprawę z nędznego losu, jaki cię czeka? Ani bogowie, ani ludzie, ani kolumny²¹ nie darowały mierności poetom: Horacy to powiedział. – Wiem o tym. – Jesteś bogaty? – Nie. – Biedny? – Bardzo biedny. – I do ubóstwa chcesz dołączyć śmieszność lichego poety; zmarnujesz życie, zestarzejesz się. Stary, biedny i lichy poeta, ach, panie! cóż za rola! – Pojmuję to, ale coś ciągnie mnie pomimo woli... (Tutaj Kubuś byłby powiedział: Ale tak było zapisane w górze). – Czy masz rodziców? – Mam. – Czymże się trudnią? – Złotnictwem. – Czy uczyniliby coś dla pana? – Być może. – No, zatem! idź pan do rodziców, poddaj im, aby ci zakredytowali ładunek towaru. Wsiadaj na okręt, który odpływa do Pondichéry, w drodze będziesz robił liche wiersze, przybywszy na miejsce zrobisz majątek. Zrobiwszy majątek, wrócisz, aby znów pisać liche wiersze, ile ci się tylko spodoba, byleby ci się nie zachciało drukować, po cóż bowiem rujnować biednego drukarza... Upłynęło z jakie dwanaście lat, jak dałem młodemu człowiekowi tę radę, kiedy ujrzałem go znowu: nie poznałem go. – To ja, panie – rzekł – ten sam, którego wysłałeś do Pondichéry. Byłem, zebrałem z jakie sto tysięcy franków, wróciłem, zacząłem na nowo pisać wiersze i oto przynoszę je panu... Czy zawsze są liche? – Zawsze, ale skoro pański los jest

²¹ *kolumny* – kolumny, na których księgarz ogłaszał tytuły dzieł; *mediocribus esse poetis/ Non homines, non Di, non concessere columnae*. (Horat. *De Art. Poet.* v. 373).
[przypis tłumacza]

zapewniony, nie mam nic przeciwko temu, abyś nadal pisał liche wiersze. – Mam też ten zamiar...

Skoro chirurg zbliżył się do łóżka Kubusia, ten nie czekał na to, co mu powie. „Słyszałem wszystko”, rzekł... Następnie zwracając się do pana, dodał... Miał dodać, gdy go pan zatrzymał. Znużył się długim marszem; przysiadł na kraju drogi, z głową zwróconą w stronę, z której zbliżał się ku nim jakiś wędrowiec piechotą, prowadząc konia za uzdę.

Pomyślisz czytelniku, że będzie to właśnie ów koń, którego skradziono Kubusiuwemu panu: i omylisz się. Tak zdarzyłoby się może w romansie, nieco wcześniej lub później, w ten lub w inny sposób: ale to nie jest romans, powiedziałem już, o ile mi się zdaje, i jeszcze raz powtarzam. Pan rzekł:

– Widzisz człowieka, który tu idzie ku nam?

KUBUŚ: Widzę.

PAN: Koń wydaje mi się niezły.

KUBUŚ: Służyłem w piechocie, nie znam się na tym.

PAN: A ja dowodziłem w kawalerii i znam się.

KUBUŚ: Cóż dalej?

PAN: Co dalej? Pójdiesz zapytać, czy by go nam nie ustąpił, rozumie się za zapłatę.

KUBUŚ: To szaleństwo, ale idę. Ile pan gotów ofiarować?

PAN: Do stu talarów...

Kubuś, zaleciwszy panu, aby znów nie usnął, idzie na spotkanie wędrowca, ofiaruje kupno, płaci i zabiera konia z sobą.

– I cóż, Kubusiu – rzecze pan – jeżeli ty masz przecucia, widzisz, że i ja mam swoje. Konik piękny, kupiec przysiągł ci z pewnością, że jest bez wady; ale gdy chodzi o konia, każdy człowiek jest podejrzany.

KUBUŚ: A kiedyż nim nie jest?

PAN: Siądziesz nań tedy i ustąpisz mi swego.

KUBUŚ: Zgoda.

I oto obaj znaleźli się na siodle, a Kubuś rozpoczął:

„Kiedy opuszczałem dom, ojciec, matka, ojciec chrzestny, każdy wcisnął mi coś w rękę, wedle swoich skromnych środków; prócz tego miałem w zapasie pięć ludwików, które Jaś, mój starszy brat, darował mi, gdy się puszczał w nieszczęśliwą podróż do Lizbony... (Tutaj Kubuś zaczął płakać, pan zaś przedkładać mu, że tak było napisane w górze). Prawda, panie; powtarzałem to sobie sto razy, a mimo wszystko, nie mogę wstrzymać się od płaczu”...

I oto Kubuś zaczyna szlochać i beczeć w najlepsze; pan zaś pociąga niuch tabaki i spogląda na zegarek. Wziąwszy uzdę w zęby i wytarłszy oczy obiema garściami, Kubuś ciągnął dalej:

„Z pięciu ludwików Jasia, z rekruckiego zadatku oraz z podarków krewnych i przyjaciół, złożyłem sobie skarbczyk, z którego do tej pory nie ruszyłem ani obola. Przygodził mi się ten zapasik w dobrą chwilę; jak się panu wydaje?”

PAN: Niepodobieństwem było dłużej zostać w chacie.

KUBUŚ: Nawet za zapłatą.

PAN: Ale kiego licha twój brat szukał w tej Lizbonie?

KUBUŚ: Można by myśleć, że pan poprzysiągł sobie sprowadzać mnie z drogi. Z pańskimi pytaniami możemy świat objechać dokoła, zanim dojdziemy do końca moich amorów.

PAN: O cóż chodzi, byleś ty gadał i byłem ja cię słuchał? Czy nie są to dwa punkty zasadnicze? Łajesz mnie, podczas gdy powinieneś mi dziękować.

KUBUŚ: Otóż brat szukał w Lizbonie spokoju. Jasiek, mój brat, był to chłopak z głową i to mu przyniosło nieszczęście; byłoby lepiej dla niego, gdyby był ciemiegą jak ja; ale tak było napisane w górze. Było napisane, iż braciszek kwestarny, karmelita, który zjawiał się we wsi żebrać jajek, wełny, konopi, owocu i wina, wedle pory roku, będzie mieszkał u mego ojca, że zbałamuci Jaśka, mego brata, i że Jasiek, mój brat, przywdzieje habit mnicha.

PAN: Jasiek, twój brat, był karmelitą?

KUBUŚ: Tak, panie, i to karmelitą bosym. Z natury obrotny i przemyślny, był on adwokatem i doradcą całej wsi. Umiał czytać i pisać i od młodu bawił się odcyfrowywaniem i kopiowaniem starych pergaminów. Przeszedł wszystkie godności zakonu, był kolejno furtianem, szafarzem, ogrodnikiem, zakrystianem, pomocnikiem gwardiana i skarbnikiem; idąc tą koleją, byłby zapewnił los nam wszystkim. Wydał za mąż, i dobrze wydał, dwie siostry i jeszcze kilka dziewcząt we wsi. Nie mógł przejść przez ulicę, aby ojcowie, matki i dzieci nie biegli ku niemu i nie wołali: „Dzień dobry, bracie Janie; jak się miewacie, bracie Janie?”. To pewna, iż kiedy wchodził w dom, wchodziło wraz

z nim błogosławieństwo Boże: jeśli była w domu dziewczyna, w dwa miesiące potem była zamężna. Biedny brat Jan! ambicja go zgubiła. Gwardian, któremu go przydano za pomocnika, był stary. Mnichy posądziły Jasia, iż ułożył sobie plan zajęcia tego stanowiska po jego śmierci, że w tym celu przewrócił do góry nogami całe archiwum, spalił dawne rejestry i sporządził nowe w ten sposób, iżby po śmierci starego gwardiana sam diabeł nie wyznał się w aktach klasztoru. Potrzeba było jakiego dokumentu? Trzeba było strawić trzy miesiące na odszukanie go; a i tak często nie zdołano odnaleźć. Ojcowie przewąchali podstęp brata Jana i jego zamiar: wzięli rzecz poważnie i brat Jan zamiast zostać gwardianem, jak sobie roił, znalazł się w komórcie o chlebie i wodzie, póty próbowany dyscypliną, póki nie zwierzył klucza swoich rejestrów. Mnichy są nieubłagane. Kiedy wyciągnęli z brata Jana wyjaśnienia, jakie im były potrzebne, uczynili zeń parobka do noszenia węgla w laboratorium, gdzie destyluje się *krople karmelitańskie*. Brat Jan, wprzód podskarbi zakonu i pomocnik gwardiana, obecnie węglarzem! Brat Jan miał ambicję; nie mógł znieść upadku swej powagi i blasku i czekał jeno sposobności, aby się umknąć temu upokorzeniu.

Wówczas to przybył do tegoż klasztoru młody ojczyk, który uchodził za cud świata w konfesjonale i na kazalnicy; nazywał się ojciec Anioł. Miał piękne oczy, gładkie lica, ramiona i ręce tylko rzeźbić! Dopieroż ojciec Anioł każe i każe, spowiada i spowiada; wszystkie pobożne duszyczki czepiają się habitu Ojca Anioła; w wigilie niedziel i świąt uroczystych sklepik ojca Anioła obłożony

od baranów i owieczek, podczas gdy starzy Ojcowie daremnie czekają na klientelę w swych opustoszałych kramikach: co ich wielce martwiło... Ale, panie, gdybym dał pokój historii brata Jana, a wrócił do historii moich amatorów, to by może było weselsze.

PAN: Nie, nie; zażyjmy niuch tabaki, zobaczmy, która godzina i jedź dalej.

KUBUŚ: Niech i tak będzie, skoro pan sobie życzy.

Ale koń Kubusia był odmiennego zdania; nagle dał susa i skoczył w jar. Daremnie Kubuś ściska go kolanami i ściąga wędzidło, uparte zwierzę rzuca się i zaczyna całym pędem wdrapywać się na jakiś wzgórek; tu zatrzymuje się jak wryte, Kubuś zaś, powiódłszy wzrokiem dokoła, ujrzał się między widłami szubienicy.

Kto inny niż ja, miły czytelniku, nie omieszkałby przystroić owej szubienicy nadobnym wisielcem i zgotować Kubusiowi przykrą niespodziankę. Uwierzylibyście może, bywają bowiem przypadki i bardziej osobliwe, ale niemniej nie byłoby to prawdą: szubienica była próżna.

Kubuś dał wydychać koniowi, który sam z siebie zszedł z pagórka, przebiegł z powrotem jar i przywiódł Kubusia ku panu, ten zaś rzekł: „Och, serdeńko, jakżeś mnie przestraszył! Myślałem że już po tobie. Ale tyś, widzę, zadumany: o czym dumasz?”.

KUBUŚ: O tym, co ujrzałem.

PAN: Cóżżeś ujrzał?

KUBUŚ: Szubienicę.

PAN: O, do diaska! niedobry znak; ale przypomnij sobie swoje nauki. Jeśli to jest zapisane w górze, nic nie poradzisz, będziesz wisiał, drogi przyjacielu; jeśli nie jest zapisane, w takim razie koń po prostu zełgał. O ile to zwierzę nie jest jasnowidzące, podlega istotnie przykrym urojeniom; trzeba mieć na nie oko...

Po chwili milczenia Kubaś przetarł czoło, otrząsnął się, jak się czyni, aby odsunąć przykrą myśl, i zaczął nagle:

„Stare mnichy naradziły się między sobą i postanowiły za jaką bądź cenę i jakim bądź sposobem pozbyć się młokosa, który był dla nich takim upokorzeniem. Wie pan co uczynili?... Ale panie, pan nie słucha”.

PAN: Słucham, słucham, jedź dalej.

KUBUŚ: Przekupili furtiana, starego hultaja jak oni. Stary hultaj oskarżył młodego ojczyka, iż nieco poufale zachował się z jedną z owieczek w rozmównicy; stwierdził przysięgą, iż widział to na własne oczy. Może była to prawda, może fałsz: któż dojdzie? Najzabawniejsze, iż nazajutrz po tym oskarżeniu przeor klasztoru otrzymał od chirurga pozew o należność za lekarstwa, których ten dostarczył i zabiegi, jakich udzielił łądakowi furtianowi w ciągu jego sekretnej choroby... Ale panie, pan nie słucha i wiem, co pana zaprzęta: założyłbym się, że ta szubienica.

PAN: Nie mogę przeczyć.

KUBUŚ: Widzę, że oczy pańskie błędzą uparcie po mej twarzy; czy mina wydaje się panu podejrzaną?

PAN: Nie, nie.

KUBUŚ: To znaczy: tak, tak. Ha, cóż! jeżeli pana przyprawiam o niepokój, nic prostszego, jak się rozłączyć.

Pan: Dajże spokój, Kubusiu, rozum tracisz; nie czujesz się pewny siebie?

KUBUŚ: Nie, panie; któż może być pewny siebie?

PAN: Każdy porządny człowiek. Czy Kubuś, poczciwy Kubuś, nie czuje tu, w sercu, odrazy do wszelkiej zbrodni...? Ech, Kubusiu, skończmy tę rozprawę i opowiadaj dalej.

KUBUŚ: W następstwie potwarzy czy też tylko niedyskrecji furtiana mnichy uczuły się w prawie uprzykrzać na tysiąc sposobów życie biednemu ojcu Aniołowi, któremu wreszcie w głowie poczęło się mącić. Wówczas zawołano lekarza, przekupionego z góry, i ten zaświadczył, że zakonnik cierpi na obłąd i że zdałoby mu się odetchnąć rodzinnym powietrzem. Gdyby chodziło tylko o to, aby oddalić lub zamknąć ojca Anioła, rzecz byłaby rychło załatwiona; ale między nabożniasiami, których był oczkiem w głowie, znajdowały się wielkie panie, zbyt niebezpieczne, aby je wyzywać do otwartej walki. Tym mówiło się o świętym spowiedniku z obłudnym współczuciem: „Niestety! biedny ojciec Anioł, cóż za szkoda! to był orzeł naszego zakonu”. – Cóż mu się takiego stało? Na to pytanie odpowiadano jeno głębokim westchnieniem i wzniesieniem oczu ku niebu; jeśli pytający nalegał, spuszczano głowę w milczeniu. Niekiedy jeszcze: „O, Boże!... cóż to za klęska!..., Miewa i dziś jeszcze chwile zdumiewające... błyski geniuszu... Może

to jeszcze wróci, ale mało nadziei... Cóż za strata dla religii! ...” Wśród tego udręczenia i dokuczliwości szły zdwojonym trybem; nie było rzeczy, której by nie próbowano, aby w istocie doprowadzić ojca Anioła do stanu, w jakim rzekomo się znajdował; i byłoby się to powiodło, gdyby brat Jan nie ulitował się nad nim. Cóż powiem więcej? Jednego wieczora, kiedyśmy wszyscy już spali, usłyszeliśmy pukanie do drzwi; wstajemy, otwieramy oczy i widzimy przed sobą ojca Anioła i brata, obu przebranych. Spędzili cały dzień ukryci w domu; nazajutrz zaś z pierwszym brzaskiem ulotnili się. Odchodzili wcale nieźle zaopatrzeni na drogę; Jasiek bowiem, ściskając mnie, rzekł: „Wydałem za mąż siostry; gdybym był został jeszcze ze dwa lata w klasztorze na stanowisku, stałbyś się jednym z najgrubszych gospodarzy w okolicy; ale wszystko się zmieniło. Oto wszystko, co mogę uczynić dla ciebie. Bądź zdrow, Kubusiu; jeżeli nam się powiedzie, pierwszy się o tym dowiesz”... zaczem wcisnął mi w rękę owe pięć ludwików, o których mówiłem, wraz z pięcioma innymi dla jednej z dziewcząt we wsi, którą wydał ostatnio za mąż i która powiła tęgiego chłopaka, podobnego do brata Jana jak dwie krople wody.

PAN, *otwartszy tabakierkę i włożywszy zegarek na swoje miejsce*: I cóż oni zamierzali czynić w Lizbonie?

KUBUŚ: Szukać trzęsienia ziemi, które nie mogło odbyć się bez nich; dać mu się zgnieść, spalić, pochłonać; jak było zapisane w górze.

PAN: O, mnichy! mnichy!

KUBUŚ: Najlepszy niewart szeląga.

PAN: Wiem to lepiej od ciebie.

KUBUŚ: Czy i pan dostał się kiedyś w ich ręce?

PAN: Opowiem ci innym razem.

KUBUŚ: Ale dlaczego oni tacy źli?

PAN: Sądzę, że dlatego, iż są mnichami... A teraz, wróćmy do twoich amorów.

KUBUŚ: Nie, panie, nie wracajmy.

PAN: Czy nie chcesz, abym się o nich dowiedział?

KUBUŚ: Ja chcę, owszem; ale los nie chce. Czyż pan nie widzi, że ile razy tylko gębę otworzę, diabeł się w to wdaje i zawsze zdarza się jakiś wypadek, który mi przerwie w pół słowa? Nie skończę tej historii, powiadam panu: tak jest napisane w górze.

PAN: Spróbuj, serce.

KUBUŚ: Ale gdyby pan rozpoczął historię swoich amorów, może by to przerwało te czary i później moje poszłyby już gładziej. Tak mi się coś widzi, że jedno zależy od drugiego; tak, panie, niekiedy mam uczucie, że sam los szepce mi do ucha...

PAN: I dobrze wychodzisz na tym, jeśli go posłuchasz?

KUBUŚ: Z pewnością: świadkiem ów dzień, kiedy mi szepnął, że pański zegarek znajduje się na grzbiecie wędrownego kramarza...

Pan zaczął ziewać; ziewając, bębnił palcami w tabakierkę, patrzył w przestrzeń i patrząc w przestrzeń, rzekł do Kubusia: „Czy nie spostrzegasz czegoś po lewej ręce?”

KUBUŚ: Owszem, i założyłbym się, że to jest coś, co nie zechce, abym wiódł dalej moją historię, ani też, aby pan rozpoczął swoją...

Kubuś miał słuszość. Ponieważ rzecz, którą widzieli, zbliżała się ku nim, oni zaś zbliżali się ku niej, dwa te ruchy odbywające się w przeciwnym kierunku, skróciły odległość. Niebawem ujrzeli wóz obity czarno, zaprzężony w cztery kare konie przybrane w czarne czapraki, które im otulały głowy i spadały aż do nóg; z tyłu dwaj lokaje na czarno; za nimi dwaj inni również przystrojeni czarno, każdy na karym koniu przybranym w rząd cały czarny; na koźle czarny woźnica w kapeluszu z opuszczoną krezą, obwiązany długą krepą, która spływała po lewym ramieniu. Woźnica siedział z pochyloną głową, puścił wolno cugle i nie tyle powodował końmi, ile dał się im prowadzić. I oto nasi podróżni zrównali się z żałobnym wozem. Nagle Kubuś wydaje krzyk, osuwa się raczej niż zsiada z konia, wydiera sobie włosy i tarza się po ziemi, krzycząc: „Mój kapitan! mój biedny kapitan! to on, nie ma wątpliwości, to jego herby!”... Istotnie na wozie mieściła się długa trumna przykryta całunem, na całunie szpada wraz z wstęgą orderową, a obok trumny ksiądz trzymający w ręku brewiarz i zawodzący psalmy. Wóz jechał ciągle dalej, Kubuś szedł za nim rozpaczając, słudzy zaś przyświadczyli Kubusiowi, że to był w istocie kondukt kapitana zmarłego w sąsiednim mieście, skąd przewożono go do rodzinnego grobu. Od czasu, jak ów rycerz postradał, wskutek śmierci kolegi i przyjaciela, kapitana w tym samym

pułku, przyjemność pojedynkowania się przynajmniej raz na tydzień, popadł w melancholię, która w ciągu kilku miesięcy doprowadziła go do zgonu. Kubuś, spleciwszy kapitanowi daninę pochwał, żalów i łez, jaką mu był dłużny, przeprosił pana, dosiadł z powrotem konia i ruszyli w milczeniu.

Ale na miłość boską, mości autorze (powiecie), dokąd oni dążą...? Ale na miłość boską, mości czytelniku, odpowiem, alboż ktokolwiek w świecie wie, dokąd dąży? A wy sami dokąd dążycie? Trzebaż, abym wam przypomniał zdarzenie Ezopa? Pan jego, Xantypus, rzekł mu pewnego wieczora, letniego lub zimowego, Grecy bowiem kąpali się o każdej porze roku: – Ezopie, idź zajrzeć do łaźni; jeżeli nie ma zbyt wielkiego ścisku, będziemy się kąpać”... Ezop rusza. Po drodze spotyka patrol ateńską. – Dokąd idziesz? – Dokąd? – odparł Ezop – nie wiem. – Nie wiesz? Chodź bratku do więzienia. – Ano widzicie – odparł Ezop – czy nie słusznie powiedziałem, że nie wiem, dokąd idę; chciałem iść do łaźni i oto idę do więzienia... Kubuś szedł za swoim panem jak wy za waszym; jego pan za swoim, jak Kubuś za nim. – A kto był panem Kubusiowego pana? – Ba, alboż brak jest panów na tym świecie? Pan Kubusia miał nie jednego, ale stu jak i wy. Ale wśród tych panów Kubusiowego pana musiało nie być ani jednego, który by był coś wart, każdego bowiem dnia ich odmieniał. – Był człowiekiem. Człowiekiem z namiętnościami jak ty, czytelniku; człowiekiem ciekawym jak ty, czytelniku; uprzykrzonym jak ty, czytelniku; natrętnie pytającym jak ty, czytelniku. – A dlaczegóż tak pytał? – Ładne pytanie! Pytał, aby

dowiedzieć się i aby podawać dalej, jak ty, czytelniku...

Pan rzekł do Kubusia: „Nie zdajesz mi się usposobionym, aby podjąć opowiadanie o swoich amorach”.

KUBUŚ: Biedny kapitan! oto wędruje tam, dokąd wędrujemy wszyscy, i dziw tylko, iż nie zawędrował tam dużo wcześniej. Och!... Och!...

PAN: Ależ Kubusiu, ty płaczesz, o ile mi się zdaje? „Pozwól łzom płynąć bez tamy, wolno im bowiem płynąć bez wstydu; śmierć zwalnia cię od skrupułów przystojności, które pętały cię za jego życia. Nie masz tych samych przyczyn do ukrywania swej boleści, jakie kazały ci wprzód ukrywać szczęście; nikt nie poważy się wyprowadzać z twoich łez wniosków, jakie wysnuwałby z twej radości. Wiele przebacza się nieszczęściu. A wreszcie, w takiej chwili trzebaż okazać się tkliwym lub niewdzięcznym: wszystko wzięwszy na szalę, lepiej zdradzić się ze słabością charakteru, niż dać się posądzić o jego szpetotę. Niechaj twa skarga płynie swobodnie, iżby się stała mniej bolesną; niechaj będzie gwałtowną, iżby się stała mniej uporczywą. Rozpamiętuj sobie, przeceniaj nawet wszystko, czym był: bystrość jego w zgłębianiu przedmiotów najbardziej przepaścistych; subtelność w omawianiu najbardziej delikatnych; poważny smak, który pociągał go ku najdonioślejszym; żywotność, jaką umiał tchnąć w najbardziej jałowe; wysoką sztukę, z jaką bronił oskarżonych. Wyrozumiałość wlewała w jego umysł tysiąc razy więcej skarbów dowcipu, niżeli interes lub miłość własna użyczała ich winnemu; surowość

znał jeno wobec samego siebie. Daleki od szukania wymówek dla lekkich błędów, jakie mu się przygodziły, wkładał całą zajadłość wroga w to, aby je spotęgować w swoich oczach, i całą przenikliwość zazdrośnika, aby obniżyć wartość swych cnót przez ściśle zgłębianie przyczyn, które być może powodowały nim bez jego wiedzy. Nie naznaczaj żałobie swej innego kresu, jak tylko ten, który sam czas jej nakreśli. Poddajmy się powszechnemu porządkowi, kiedy tracimy przyjaciół, tak jak poddamy się, kiedy mu się spodoba rozrządzić nami samymi; wyrok losu, który nam ich wydziera, przyjmijmy bez rozpacz, jak przyjmujemy bez oporu ów, który wcześniej lub później ugodzi w nasze głowy. Obowiązki pogrzebu nie są ostatnimi obowiązkami duszy. Ziemia, którą porusza się w tej chwili, stężeje na grobie twego kochanka; ale dusza twoja zachowa całą tkliwość”.

KUBUŚ: Mój panie, to wszystko bardzo piękne, ale na kiego licha się to zdało? Straciłem mego kapitana, jestem zrozpaczony, a pan mi tu odstawiasz jak papuga strzępy pociechy jakiegoś mężczyzny czy też kobiety, pod adresem drugiej kobiety, która straciła kochanka.

PAN: Myślę, że to mówi kobieta.

KUBUŚ: A ja, że mężczyzna. Ale, mężczyzna czy kobieta, jeszcze raz pytam, na kiego diaska się to zdało? Czy pan mnie bierzesz za kochankę kapitana? Mój kapitan, panie, to był zacny człowiek; a ja, ja byłem zawsze uczciwym chłopakiem.

PAN: Kubusiu, któż ci przeczy?

KUBUŚ: Więc na kiego licha zdała się tu pańska pociecha mężczyzny czy kobiety wystosowana do drugiej kobiety? Póty będę pytał, aż mi pan może wytłumaczy.

PAN: Nie, Kubusiu, trzeba, abyś doszedł sam.

KUBUŚ: Mógłbym przemyśleć resztę życia i nie zgadłbym, starczyłoby mi tematu aż do ostatecznego sądu.

PAN: Kubusiu, zdawało mi się, że tego, co ci czytałem, słuchałeś z jakąś uwagą.

KUBUŚ: Czyż można nie słuchać z uwagą czegoś, co jest śmieszne?

PAN: Doskonale!

KUBUŚ: Omal że nie parsknąłem śmiechem przy „skrupułach przystojności”, które mnie pętały za życia kapitana, a z których wyzwoliła mnie jego śmierć.

PAN: Doskonale, Kubusiu! Osiągnąłem tedy, co zamierzyłem. Powiedz, czy można było wziąć się lepiej do tego, aby cię pocieszyć? Płakałeś: gdybym się był wdał z tobą w rozmowę o przedmiocie twej boleści, co byłoby wynikiło? Iżbyś płakał o wiele mocniej i doprowadził się do zupełnej rozpaczki. Zmieniłem bieg twych myśli przez komizm mojej mówki pogrzebowej oraz małą sprzeczkę, jaka stąd wynikła. Przyznaj teraz, iż myśl o kapitanie jest równie daleką od ciebie jak wóz żałobny, który go wiezie na miejsce ostatniego spoczynku. Co za tym idzie, myślę, iż możesz podjąć historię swoich amorów.

KUBUŚ: I ja tak myślę.

Doktorze, rzekłem do chirurga, czy pan daleko mieszka?

– Co najmniej o dobre ćwierć mili.

– Czy masz wygodne pomieszkowanie?

– Dostyć wygodne.

– Czy mógłbyś mieć do rozporządzenia łóżko?

– Nie.

– Jak to! nawet za zapłatą, za dobrą zapłatą!

– Och, za zapłatą i za dobrą zapłatą, to znowuż, co innego.

Ale, mój przyjacielu, nie bardzo mi się wydaje, abyś był w możności zapłacić, a tym mniej dobrze zapłacić.

– To moja rzecz. A czy znalazłbym u pana nieco opieki?

– Wyborną opiekę. Mam żonę, która całe życie pielęgnowała chorych; mam starszą córkę, która goli jak z nut i umie zdjąć i założyć opatrunek nie gorzej ode mnie.

– Ileż byś pan policzył za mieszkanie, życie i starania?

Chirurg mruknął, skrobiąc się za ucho: „Mieszkanie... życie... starania... Ale któż mi da pewność zapłaty?”

– Będę płacił każdego dnia z góry.

– Oto, co się nazywa mówić...

Ale, panie, zdaje mi się, że pan nie słucha.

PAN: Nie, Kubusiu, było napisane w górze, że tym razem, który nie będzie ostatnim, będziesz mówił, nie znajdując uszu do słuchania.

– Kiedy się nie słucha tego, co ktoś mówi, wówczas albo się nie myśli o niczym, albo się myśli o czym innym: która z tych dwu okoliczności zachodziła u pana?

PAN: Ta ostatnia. Myślałem o tym, co mówił jeden z czarnych lokai jadących za karawanem, a mianowicie iż przez śmierć przyjaciela kapitan twój postradał przyjemność pojedynkowania się przynajmniej raz na tydzień. Czy ty rozumiałeś?

KUBUŚ: Oczywiście.

PAN: Jest to zagadka, za której rozwiązanie mocno ci będę wdzięczny.

KUBUŚ: Kiż diabeł zależy panu na tym?

PAN: Niewiele; ale kiedy mówisz, chcesz prawdopodobnie, aby cię słuchano?

KUBUŚ: Rozumie się samo przez się.

PAN: Otóż sumiennie wyznaję, nie umiałbym ci tego zaręczyć, dopóki to mgliste odezwanie będzie mi się kołatać po mózgowicy. Uwolń mnie od niego, proszę cię.

KUBUŚ: Niech i tak będzie! Ale przysięgnij pan bodaj, że nie będziesz przerywał.

PAN: Na wszelki wypadek przysięgam.

KUBUŚ: Otóż mój kapitan, człowiek dobry, człowiek dwornych obyczajów, człowiek wielkich zalet, jeden z najlepszych oficerów korpusu, ale zarazem nieco dziwak, zaprzyjaźnił się był z drugim oficerem tegoż samego korpusu, również człowiekiem dobrym, człowiekiem dwornych obyczajów, człowiekiem wielkich zalet i równie dobrym oficerem, ale równie wielkim dziwakiem jak on...

Kubuś miał właśnie rozpocząć historię kapitana, kiedy

przerwał mu nowy zgiełk: znowuż ujrzeli gromadę ludzi i koni doganiającą ich z tyłu. Był to ten sam karawan, jadący z powrotem. Otaczali go... strażnicy celni? – Nie. – Żandarmi konni? – Być może. Jak bądź się rzeczy miały, na czele orszaku jechał ksiądz w sutannie i komży, z rękami związanymi na plecach, czarny woźnica z rękami związanymi na plecach i dwaj czarni lokaje z rękami związanymi na plecach. Któż opisze zdumienie Kubusia! Śmiał się i wykrzykiwał jak najęty: „Kapitan, biedny kapitan nie umarł! I Bogu niech będzie chwala!”... Następnie obraca konia na miejscu, spina ostrogami i pędzi cwałem naprzeciw mniemanego konduktu. Ledwie zbliżył się na jakie trzydzieści kroków, kiedy strażnicy celni (lub też konni żandarmi) zwracają wprost na niego lufy muszkietów i krzyczą: „Stój, nawracaj natychmiast lub zginiesz!”... I Kubus zatrzymał się w miejscu, zapytał w myśli swego losu; zdało mu się, że los powiada: „nawracaj”, co też uczynił. Pan rzekł: „No i co, Kubusiu, cóż tam takiego?”.

KUBUŚ: Na honor, nie wiem.

PAN: A dlaczego?

KUBUŚ: I tego też nie wiem.

PAN: Zobaczysz, że to przemytnicy, którzy napełnili trumnę zakazanym towarem, a których później ci sami hultaje, od których nabyli towar, zdradzili celnikom.

KUBUŚ: Ale skąd ten karawan z herbami kapitana?

PAN: Albo też jakie wykradzenie. Kto wie, może w trumnie była ukryta kobieta, panna albo zakonnica: kto leży pod całunem,

nie musi być umarły.

KUBUŚ: Ale skąd ten karawan z herbami kapitana?

PAN: Skąd ci się podoba; ale dokończ historii o nim samym.

KUBUŚ: Zależy panu jeszcze na tej historii? A może on żyje?

PAN: A cóż to ma do rzeczy?

KUBUŚ: Nie lubię mówić o żyjących, raz po raz bowiem człowiek musi się rumienić za to, co o nich powie dobrego czy złego: dobrego, które popsują, lub złego, które naprawią.

PAN: Nie bądź ani mdłym chwalcą, ani zgryźliwym cenzorem; mów rzeczy, jak są.

KUBUŚ: To nie tak łatwo. Czyż człowiek nie ma swego charakteru, swoich interesów, gustów, namiętności, według których każdy przedmiot przesadza lub łagodzi? Mów rzeczy, jak są!... To może nie zdarza się ani dwa razy w ciągu dnia w całym dużym mieście. A ten, który słucha, czy pod tym względem w lepszym jest położeniu od tego, który mówi? Nie. Z czego niezbitnie wynika, iż może ledwie dwa razy w ciągu dnia w całym wielkim mieście rozumie się czyjeś słowa długo tak, jak były mówione.

PAN: Cóż, u diabła. Kubusiu, toć to są maksymy zdolne obrzydzić ludziom użytek języka i uszu! To by nie można nic mówić, niczego słuchać i niczemu wierzyć! Na razie mów jako ty, ja będę słuchał jako ja i będę wierzył, ile potrafię.

KUBUŚ: Drogi panie, życie upływa na samych *qui pro quo*²².

²² *qui pro quo* (łac.) – nieporozumienie; dosł. jeden zamiast drugiego, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

Są *qui pro quo* miłości, *qui pro quo* przyjaźni, *qui pro quo* polityki, finansów, kościoła, urzędu, handlu, żon, mężów...

PAN: Ech! dajże pokój tym *qui pro quo* i staraj się zrozumieć, że trudno o grubsze *qui pro quo*, niż puszczać się w dziedzinę morału, wówczas gdy chodzi o fakt historyczny. A zatem, historia kapitana?...

KUBUŚ: Jeżeli prawie wszystkie słowa wasze wykładają ludzie fałszywie, gorzej jest, iż prawie wszystkie nasze uczynki sądzą też opacznie.

PAN: Nie ma chyba pod słońcem głowy, w której by się tłuło tyle paradoksów, co w twojej.

KUBUŚ: Cóż w tym złego? Paradoks nie zawsze jest fałszem.

PAN: To prawda.

KUBUŚ: Przejeżdżaliśmy przez Orlean: niby kapitan i ja. Całe miasto gada jeno o przygodzie, jaka świeżo zdarzyła się pewnemu obywatelowi nazwiskiem Le Pelletier. Był to człowiek przepełniony tak głębokim współczuciem dla nieszczęśliwych, iż przez nieumiarkowane jałmużny uszczupliwszy majątek swój, dość znaczny, do najskromniejszych resztek, chodził od drzwi do drzwi, szukając w cudzej sakiewce pomocy dla bliźnich, której nie był już zdolny zaczerpnąć we własnej.

PAN: I myślisz, że mogły być dwa zdania co do postępowania tego człowieka?

KUBUŚ: Pomędzy biedakami nie; ale prawie wszyscy bogaci bez wyjątku uważali go za szaleńca; niewiele zaś brakło, by jego najbliżsi nie kazali go ubezwłasnowolnić jako rozrzutnika.

Podczas gdy pokrzepialiśmy się w gospodzie, tłum gapiów zgromadził się dokoła jakiegoś oratora, cyrulika z pobliskiej ulicy, i wołał: „Byliście przy tym, opowiedzcież, jak rzeczy się miały”.

– Bardzo chętnie – odpowiedział uliczny mówca, który niczego tak nie pragnął jak sposobności roztoczenia swady. – Pan Aubertot, jeden z moich klientów, którego dom znajduje się naprzeciw kościoła kapucynów, stał w progu; Le Pelletier przystępuje doń i mówi: „Panie Aubertot, czy nic mi pan nie dasz dla moich przyjaciół?”, jak wam bowiem wiadomo, ma zwyczaj nazywać biednych tym mianem.

– Nic jak na dzisiaj, mój dobry Le Pelletier.

Le Pelletier nalega. „Gdybyś pan wiedział, dla kogo zebrzę miłosierdzia! dla biednej kobiety, która właśnie urodziła i nie ma ani łachmana, aby owinąć niemowlę”.

– Nie mogę.

– Dla młodej i ładnej dziewczyny bez roboty i chleba, którą hojność pańska ocali może od występku.

– Nie mogę.

– Dla robotnika, który żył jeno z pracy i złamał nogę, spadając z rusztowania.

– Nie mogę.

– Ej, panie Aubertot, daj się zmiękczyć, bądź pewny, że nigdy nie nadarzy ci się sposobność spełnienia zacniejszego czynu.

– Nie mogę, nie mogę.

– Mój dobry, miłosierny panie Aubertot!...

– Mój le Pelletier, zostaw mnie w spokoju; kiedy mam ochotę dać, nie każe się prosić...

To rzekłszy, Aubertot odwraca się plecami i cofa się w głąb sklepu, dokąd pan Le Pelletier idzie za nim; idzie za nim ze sklepu do składu, ze składu do mieszkania; tam pan Aubertot zniecierpliwiony naleganiami pana Le Pelletier daje mu policzek...

Wówczas mój kapitan zrywa się gwałtownie i powiada do mówcy: „I on go nie zabił?”.

– Nie, panie: czyż to się tak zaraz zabija?

– Policzek, do kroćset! policzek! I cóż zrobił?

– Co zrobił, otrzymawszy policzek? Uśmiechnął się i rzekł do pana Aubertot: „To, to dla mnie; ale dla moich biedaków?”...

Na te słowa wszyscy słuchacze okrzyknęli się z podziwu, z wyjątkiem kapitana, który prawił: „Wasz Le Pelletier, panowie, jest ciemięgą, nędznikiem, tchórzem, podlecem, któremu wszelako ta szpada byłaby rychło wymierzyła sprawiedliwość, gdybym ja był przy tym; Aubertot zaś mógłby się uważać za bardzo szczęśliwego, gdyby go to kosztowało jedynie nos i parę uszu”.

Mówca odparł: „Widzę, panie, iż nie byłby pan zostawił temu porywczemu człowiekowi czasu na to, by uznał swój błąd, rzucił się do nóg pana Le Pelletier i ofiarował swą sakiewkę”.

– Pewnie, że nie!

– Pan jesteś żołnierzem, a pan Le Pelletier chrześcijaninem; zapatrywania wasze na policzek są różne.

– Twarz każdego człowieka honoru jest jednaka.

– Inaczej nieco mówi Ewangelia.

– Ewangelia jest w moim sercu i w mojej pochwie, nie znam innej.

– Pańska, mój dobry panie, jest nie wiem gdzie; moja jest zapisana w górze. Każdy ocenia zniewagę i dobrodziejstwo na swój sposób: być może że zresztą zmienia się nasz sąd o tym w różnych chwilach życia.

PAN: Dalej, przekłęty gaduło, dalej...

Skoro pan Kubusia wpadł w zły humor, Kubuś milkł, zaczął dumać i jedynie od czasu do czasu przerywał milczenie jakąś uwagą mającą snadź związek z jego myślami, ale tak oderwaną od rozmowy, jak wątek książki, której by się przeskoczyło kilka kartek. I teraz oto rzekł: „Mój drogi panie”...

PAN: Ach, wróciła ci wreszcie mowa. Cieszę się z tego dla nas obu, zaczynało mi się bowiem przykrzyć bez słuchania, a tobie bez mówienia. Mów tedy...

Kubuś miał rozpocząć historię kapitana, kiedy po raz drugi koń rzuca się gwałtownie w prawo, unosi go przez długą równinę dobre ćwierć mili i zatrzymuje się jak wryty między widłami szubienicy! Między widłami szubienicy! W istocie, szczególny obyczaj, aby częstować tak uparcie swego jeźdźca postronkiem! ... „Cóż to, u diaska, ma znaczyć? – myślał Kubuś. – Byłoby to ostrzeżenie losu?”.

PAN: Mój przyjacielu, nie wątp o tym. Twój koń działa pod wpływem natchnienia; a co najprzykrzejsze, to iż wszystkie

owe przepowiednie, natchnienia, ostrzeżenia z góry przez sny, zjawiska nie zdały się nigdy na nic: rzeczy mimo to idą swoim trybem. Drogi przyjacielu, radzę ci doprowadzić sumienie do przyzwoitego stanu, załatwić drobne sprawy i uporać się co najspieszniej z historią kapitana i twoich amatorów, bardzo bowiem byłoby mi przykro stracić cię, nie usłyszawszy końca. Choćbyś się martwił więcej jeszcze niż w tej chwili, co by to pomogło? Nic. Wyrok losu ogłoszony dwa razy przez twego konia spełni się. Zastanów się, czy nie jesteś komu dłużny jakiego zadośćuczynienia? Powierz mi swą ostatnią wolę i bądź pewien, że będzie ściśle wypełniona. Jeśli ci się zdarzyło coś mi ściągnąć, damę ci to na własność: proś jedynie Boga o przebaczenie i przez czas mniej lub więcej krótki, jaki mamy żyć z sobą, nie kradnij więcej.

KUBUŚ: Daremnie sięgam wzrokiem w przeszłość, nie widzę, w czym bym zawinił przeciw sprawiedliwości ludzkiej. Nie zabiłem, nie ukradłem, nie zgwałciłem...

PAN: Tym gorzej; wszystko zważywszy, wołałbym, aby zbrodnia była już poza tobą: mam w tym swoje racje.

KUBUŚ: Hm, panie, a gdybym ja miał wisieć nie na swój, ale na cudzy rachunek?

PAN: To być może.

KUBUŚ: Może powieszą mnie dopiero po śmierci.

PAN: I to być może.

KUBUŚ: Może mnie wcale nie powieszą.

PAN: Co to, to wątpię.

KUBUŚ: Jest może napisane w górze, iż będę obecny przy powieszeniu kogoś innego; a ten inny, kto wie, kto to? czy jest blisko, czy daleko?

PAN: Panie Jakubie, bądź wisielcem, skoro los tak każe i koń twój tak powiada, ale nie bądź bezczelnym: skończ z głupimi przypuszczeniami i opowiadaj historię kapitana.

KUBUŚ: Panie, niech się pan nie gniewa, toć bywało, iż wieszano bardzo uczciwych ludzi: *qui pro quo* sprawiedliwości.

PAN: Takie *qui pro quo* są bardzo niemiłe. Mówmy o czym innym.

Kubuś, nieco pokrzepiony rozmaitymi wykładami, jakie znalazł dla końskiego prognostyku, rzekł:

– Kiedy wstąpiłem do pułku, było w nim dwóch oficerów równych mniej więcej co do wieku, urodzenia, lat służby i zasług.

Jednym z nich był właśnie mój kapitan. Jedyna różnica, jaka zachodziła między nimi, to iż jeden był bogaty, a drugi nie. Mój kapitan był tym bogatym. Para takich ludzi musiała uczuć do siebie albo sympatię albo antypatię najwyższego stopnia: tu zachodziło i jedno, i drugie...

Tutaj Kubuś zatrzymał się, co przytrafi mu się wielokroć w ciągu opowiadania, mianowicie za każdym razem, gdy koń obróci głowę w prawo lub w lewo. Po każdej takiej przerwie podejmując na nowo, powtarzał ostatnie zdanie, jak człowiek dręczony czkawką.

– Zachodziło jedno i drugie. Były dni, w których byli najlepszymi przyjaciółmi w świecie, inne znów, w których

czuli się śmiertelnymi wrogami. W dniu przyjaźni szukali się, ugaszczali, ściskali, dzielili każdą troską, radością, potrzebą; radzili się wzajem w kwestiach najbardziej poufnych, w sprawach domowych, w swoich nadziejach, obawach, widokach awansu. Spotkali się nazajutrz? Mijali się, nie patrząc na siebie, albo też patrzyli dumnie i chłodno, tytułowali się „panie”, rzucali ostre przycinki, dobywali szpady z pochew i bili się. Skoro zdarzyło się, iż jeden z nich odniósł ranę, drugi rzucał się na ciało towarzysza, płakał, rozpaczał, odwoził go do domu; dnie i noce spędzał koło jego łóżka, dopóki nie wyzdrowiał. W tydzień, dwa tygodnie, w miesiąc, wszystko powtarzało się na nowo. W ten sposób w periodycznych odstępach czasu dwóch dzielnych ludzi... dwóch dzielnych ludzi, dwóch szczerych przyjaciół, narażało się na to, iż jeden mógł zginąć z ręki drugiego; a nie ten pewnie, który by poległ byłby bardziej godnym współczucia z nich obu! Wykazywano im niejednokrotnie szaleństwo ich postępowania; ja sam (ile że kapitan pozwalał mi się odzywać swobodnie) mawiałem: „Ależ, panie, cóż będzie, gdyby go pan zabił?”. Na te słowa zaczynał płakać, zakrywał oczy rękami, biegał po mieszkaniu jak szaleniec. W dwie godziny później albo kolega odwoził go do domu rannego, albo też on oddawał mu tę samą przysługę. Ani moje przedstawienia... ani moje przedstawienia, ani perswazje innych osób nie zdołały nic osiągnąć: jedynym lekarstwem zdało się rozdzielić ich. Powiadomiono ministerstwo wojny o tej niebezpiecznej manii; i oto mój kapitan otrzymał nominację na komendanta pewnej

twierdzy z wyraźnym rozkazem pospieszenia natychmiast na posterunek i zakazem opuszczania go; drugi dekret zabronił jego koledze wydalac się z pułku... Ten przeklęty koń doprowadzi mnie chyba do szaleństwa... Zaledwie przybyły rozkazy ministerstwa, kapitan pod pozorem podziękowania za zaszczyt, jakim go obdarzono, śpieszy na dwór, przedstawia, iż on jest bogaty, ubogi zaś jego kolega ma toż samo prawo do łaski królewskiej; że stanowisko, jakie oddano jemu, wynagrodziłoby godnie służby jego przyjaciela, wspomogłoby go w skromnych stosunkach majątkowych, jemu zaś samemu zamiana ta sprawiłaby największą radość. Ponieważ minister nie miał innego zamiaru, jak tylko rozdzielić parę dziwaków, szlachetne zaś postąpienie zawsze potrafi przemówić do duszy, postanowiono... Przeklęte bydlę, będziesz ty trzymać głowę prosto?... Postanowiono, że kapitan zostanie w pułku, jego zaś kolega obejmie dowództwo fortecy.

Zaledwie ich rozdzielono, uczuli, jak bardzo byli sobie potrzebni wzajem; popadli w głęboką melancholię. Kapitan zażądał półrocznego urlopu, aby odetchnąć rodzinnym powietrzem; ale ujechawszy dwie mile od garnizonu, sprzedaje konia, przebiera się za wieśniaka i śpieszy do miejsca, gdzie towarzysz jego był komendantem. Zdaje się, iż to było umówione między nimi. Przybywa... Gnajże, gdzie ci się podoba! Czy jest gdzie jeszcze jaka szubienica, którą masz ochotę odwiedzić?... Niech się pan śmieje zdrowo, w istocie, to bardzo zabawne... Przybywa; ale mimo całej ostrożności, z jaką starali się ukryć

zadowolenie ze swego widoku, i mimo ścisłego przestrzegania zewnętrznych oznak uniżoności należnej ze strony prostego wieśniaka komendantowi fortecy, było zapisane w górze, iż niektórzy oficerowie obecni przypadkiem przy spotkaniu, a świadomi ich osobliwych dziejów, powezmą podejrzenie i pospieszą uwiadomić majora, komendanta placu.

Ów, człowiek bywały, uśmiechnął się z ostrzeżenia, nie zapoznając wszelako jego ważności. Otoczył komendanta fortecy szpiegami. Pierwszą relacją było, iż komendant wychodzi z domu niewiele, wieśniak zaś wcale. Nie było możebnym, aby ci dwaj ludzie przeżyli z sobą tydzień z rzędu, nie popadając w swój osobliwy nałóg; co też się stało.

Widzisz, czytelniku, do jakiego stopnia jestem uprzejmy: zależałoby jedynie ode mnie zaciąć batem konie zaprzężone do karawanu; u bram miejsca najbliższego noclegu zgromadzić Kubusia, jego pana, strażników czy też żandarmów wraz z resztą orszaku; przerwać historię Kubusiewego kapitana i wystawić waszą niecierpliwość na dowolne próby; ale na to trzeba by kłamać, a ja nie lubię kłamstwa, chyba że jest użyteczne i musowe. Faktem jest, iż Kubaś i jego pan nie ujrzeni już kirem odzianego wozu i że Kubaś, raz po raz niepokojony narowami swego konia, ciągnął dalej opowieść.

– Jednego dnia, szpiegowie²³ donieśli majorowi, iż zaszała

²³ szpiegowie – dziś popr. szpiedzy. [przypis edytorski]

bardzo żywa sprzeczka pomiędzy komendantem a wieśniakiem; iż następnie wyszli z domu, wieśniak przodem, komendant zaś jak gdyby z pewnym ociąganiem za nim i udali się do głównego bankiera w mieście.

Dowiedziano się później, iż nie mając już nadziei widywania się, postanowili bić się do upadłego i że mój kapitan, który, jak panu mówiłem, był bogaty, czuł na obowiązki przyjaźni nawet w chwili najnieściechańszego okrucieństwa... kapitan, który był bogaty, wymusił na koledze, aby przyjął oblig na dwadzieścia cztery tysiące funtów, mające mu zapewnić spokojny byt za granicą, w razie gdyby się stał zabójcą. Mój pan zarzekał się, iż nie będzie się bił bez tego upewnienia, tamten zaś odpowiadał na tę propozycję: „Czy myślisz, przyjacielu, że, gdyby mi się zdarzyło cię zabić, potrafiłbym cię przeżyć?”... Mam nadzieję, panie, że nie zechce mnie pan skazywać, bym odbył całą podróż na tym przeklętym zwierzęciu...

Wyszędłszy od bankiera, zbliżali się ku bramom miasta, kiedy nagle ujrzeni majora i kilku oficerów. Mimo iż spotkanie miało charakter przypadkowego zbiegu okoliczności, nasi dwaj przyjaciele, dwaj nieprzyjaciele, jak się panu spodoba ich nazwać, poznali w lot, co się święci. Wieśniak przyznał się do swej prawdziwej postaci. Spędzono wspólnie noc w pobliskiej gospodzie. Nazajutrz o świcie kapitan, uściskawszy kilkakrotnie towarzysza, rozłączył się z nim, aby go nie ujrzeć więcej. Zaledwie przybył do swoich stron, umarł.

PAN: A któż ci powiadał, że umarł?

KUBUŚ: A ta trumna? a karawan z jego herbami? Biedny kapitan nie żyje; ani wątpię o tym.

PAN: A ksiądz z rękami związanymi na grzbiecie; a ludzie z rękami związanymi na grzbiecie; a owi celnicy albo też żandarmi; a powrót całego orszaku ku miastu? Kapitan żyje, ani wątpię o tym: ale czy nic ci nie wiadomo o jego koledze?

KUBUŚ: Historia jego kolegi to piękna stronica wielkiego zwoju lub też tego, co jest zapisane w górze.

PAN: Mam nadzieję...

Koń Kubusia nie pozwolił panu dokończyć; jak błyskawica, nie zbaczając na prawo ani na lewo, pomknął prościutko gościńcem. Kubuś znikł bez śladu, pan zaś, przekonany iż droga kończy się niechybnie u stóp szubienicy, trzymał się za boki od śmiechu. A ponieważ Kubuś i jego pan warci są coś jedynie razem, a nic rozdzieleni, tak samo jak Don Kichot bez Sanchy²⁴, i Ryszardet bez Ferragusa²⁵, czego nie zrozumiał dostatecznie spadkobierca Cervantesa i naśladowca Ariosta, monsignor Forti-Guerra, pogwarzmy sobie tedy, czytelniku, dopóki znów się nie połączą.

Gotów jesteś wziąć historię kapitana Kubusiewego za bajkę

²⁴ *Don Kichot bez Sanchy* – **Avellaneda** ogłosił w r. 1614 mało wartościowy utwór zawierający dalszy ciąg przygód Don Kichota. [przypis tłumacza]

²⁵ *Ryszardet bez Ferragusa* – **Forti-Guerra** (1674–1735) napisał poemat pt. *Ricciardetto*, którego pierwszą pieśń ułożył w jednym dniu, mając tym pretensję dowieść, jak łatwo jest sięgnąć po laury Ariosta. Poemat ten doczekał się przekładu lub raczej naśladownictwa w języku francuskim ogłoszonego w r. 1766. [przypis tłumacza]

i będziesz w błędzie. Zaręczam ci, iż dosłownie tak, jak on opowiadał swemu panu, ja słyszałem ją, nie pomnę już którego roku, u Inwalidów w dzień świętego Ludwika, przy stole niejakiego pana Saint-Etienne, majora, komendanta zakładu. Opowiadający, który mówił w obecności wielu innych miejscowych oficerów świadomych owego zdarzenia, był osobistością poważną i nie wyglądał bynajmniej na żartownisia lub łgarza. Powtarzam tedy na ten raz i na przyszłość: bądźcie ostrożni, jeżeli w toku gawędy Kubusia i jego pana nie chcecie wziąć prawdy za zmyślenie i zmyślenia za prawdę. Ostrzegłem was wedle sumienia, a teraz umyvam ręce. – Oto, powiecie mi, dwóch tęgich oryginałów! – I to budzi waszą nieufność? Po pierwsze, natura jest tak różnaita, zwłaszcza co się tyczy instynktów i charakterów, że nie urodzi się nic tak dziwnego w fantazji poety, czego by wzoru doświadczenie i obserwacja nie odnalazły w naturze. Ja, który do was mówię, odnalazłem sobowtóra *Lekarza mimo woli*²⁶, którego, do tego czasu uważałem za wymysł najbardziej szalonej i rozigranej pustoty. – Jak to? Sobowtóra owego męża, któremu żona mówi: „Mam troje dzieci na ręku”; on zaś odpowiada: „Postaw je na ziemi”... „Wołają o chleb!” – „Daj im kije!”. – Właśnie. Oto jego rozmowa z moją żoną:

- To pan, panie Gousse?
- Tak, pani, nikt inny.
- Skąd pan przybywa?

²⁶ *Lekarz mimo woli* – komedia Moliera (Akt I, scena I). [przypis tłumacza]

– Stamtąd, gdzie byłem.

– Cóż pan porabiał?

– Naprawiałem młyn, który źle chodził.

– Czyjże był ten młyn?

– Nie wiem; nie wzywano mnie do naprawienia młynarza.

– Jest pan bardzo przyzwoicie odziany, wbrew swoim zwyczajom; tylko dlaczego pod tym ubraniem, bardzo schludnym, brudna koszula?

– Stąd, że mam tylko jedną.

– A dlaczego tylko jedną?

– Dlatego, że mam tylko jedno ciało naraz.

– Męża nie ma w domu, ale to nie przeszkadza, abyś pan zjadł obiad.

– Juścić nie, skoro nie powierzyłem mu ani mego żołądka ani apetytu.

– Jak się miewa żona?

– Jak się jej podoba; to jej rzecz.

– A dzieci?

– Doskonale!

– A to małe, co ma takie ładne oczy, pulchniutkie, rozkoszne?

– Najlepiej ze wszystkich; umarło.

– Czy uczy ich pan czego?

– Nie, pani.

– Jak to! ani czytać, ani pisać, ani katechizmu?

– Ani czytać, ani pisać, ani katechizmu.

– Dlaczego?

– Bo i mnie też niczego nie uczyli i wcale przez to nie czuję się głupszy. Jeśli mają głowę na karku, dadzą sobie rady jak ja; jeśli są osły, wszystko czego bym ich nauczył, pomnożyłoby tylko ich osielstwo...

Jeśli spotkacie kiedy tego oryginała, wiedźcie, iż nie potrzeba być mu znajomym, aby się wdać w gawędę. Zaciągnijcie go do szynku, powiedzcie, o co chodzi, każcie iść z sobą bodaj dwadzieścia mil: pójdzie; wykorzystawszy go, odprawcie bez grosza: wróci zadowolony.

Czy słyszeliście kiedy o jakimś Prémontvalu, który dawał w Paryżu publiczne lekcje matematyki? To jego przyjaciel... Ale Kubuś i jego pan może się już spotkali: chcecie, byśmy pospieszyli do nich, czy wolicie zostać ze mną?... Otóż, Gousse i Prémontval prowadzili wspólnie szkołę. Pomędzy uczniami, którzy cisnęli się tłumnie, znajdowała się młoda dziewczyna nazwiskiem panna Pigeon, córka owego zręcznego majstra, który zbudował dwie planisfery, przeniesione z czasem z Ogrodu Królewskiego do sal Akademii Umiejętności. Panna Pigeon spieszyła codziennie na lekcje z teczką pod pachą i puzderkiem przyborów matematycznych w zaręczawku. Jeden z nauczycieli, Prémontval²⁷

²⁷ *Prémontval* – zarówno Prémontval, jak jego żona istnieli autentycznie; Prémontval, uprowadziwszy pannę Pigeon, żył jakiś czas w Szwajcarii, potem w Berlinie, gdzie mimo godności członka Akademii Królewskiej, wiódł życie skromne i ubogie. Umarł w r. 1764. Pani Prémontval była lektorką żony księcia Henryka pruskiego; umarła w r. 1767, więc również przed powstaniem tej opowieści. [przypis tłumacza]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.